

LEANDER I HERO

SCENA LIRYCZNA.

„Stara to powieść, lecz zawsze i wszędzie
Młodość ją lubić i powtarzać będzie.”
Lord Byron.

SCENA I.

(Noc, brzeg morski; na urwistéj skale wieża z krużgankiem, widok morza).

HERO. (Wchodząc zwolna na wieżę).

Przecież usnęli wszyscy, ale na tle nieba
Jak blado z za chmur czarnych świeci sio-
[stra Feba.
O Djano! dziś dla mnie wejdzij rozjaśniona
Taką—jak zstępowałaś do Endymijona;
A za to mój Leander, na twoje ołtarze
Ułowi młodą łanię—i złoży ci w darze,
Tylko niech twój przyjazny blask oświeci wody
Przez które płynąć będzie mój bohater młody,
Bo zawiść ludzka dziksza niż ta morska fala
Przed ołtarze Hymenu iść nam nie pozwala;
Ojciec Leandra dumny z Heraklidów rodu
Nie pozwala na związek nasz, z tego powodu
Żem najwyższą kapłanką miłości bogini,
Że zdala pychy ludzkiéj, w świętych gajów
[głębi,
Wiodę życie wśród kwiatów i białych gołębi,
Co dzień na złotéj lirze nucąc hymn w świą-
[tyni.
A choć nas wszystko dzieli, Fatum, ludzie, ży-
[cie,
Jednak miłość zapory przezwycięża skrycie;
Sama natura straszną jest wśród nas prze-
[szkodą,
Dzieląc od nas Abydos, Helespontu wodą:
Lecz miłością burzliwych fal moc zwyciężona;
Kochanek co noc z domu wymyka się skrycie,
Płynie przez morski odmęt walcząc z nim o ży-
[cie,
I zwycięzki jak półbóg—pada w me ramiona!

(Spojrzawszy w górę).

Dzięki ci piękna łuno, świecisz w chmur na-
[wale
Mój Leander bezpiecznie przepłynie te fale;
Gdy silne jego ramię łamiąc morskie wały
Jak trójząb Pozejdona, lub jak łabędź biały
Błyśnie nad fal przepaścią jako gwiazda w zmie-
[rzchu,
Wtedy chciałabym skoczyć z tych ostrych skał
[wierzchu,
I bujać jak Alcyon po nad mórz straszydły
I unieść go z otchłani wód— własnemi skrzy-
[dły;
Bo drżę, by nie porwała mojego młodziana,
Która z nimf morskich— w jego wdziękach
[rozkochana.

(Pochyla się ku morzu).

Nie widać go. Nie widać!... Puste wód prze-
[strzenie,
Tylko drgają na falach księżyca promienie.
Może dziś nie przybędzie? — Jakąś trwogę
[czuję....
Może mnie już nie kocha?... Cóż go zatrzy-
[muje....
W oczekiwaniu, jakże wolno czas się zwleka;
Jakże powoli piasek w klepsydrze przecieka!
Gdym samotna, o! czasie leć prędzéj w dal cie-
[mną
A zatrzymaj się wtedy—gdy Leander ze mną.

(Siada na krużganku).

Może oczekiwania godziny tém skrócę [wrócę,
Kiedy na chwilę myślą w moją przeszłość

Przeszłość—która mi szczęścia promieniem po-
[łyska,
Gdy wspomnę Olimpijskie tak świetne igrzy-
[ska;
Gdzie wszystkie kraje Greckie razem zgro-
[madzone,
Wyścigami, orężem i silném ramieniem,
Muzyką i malarstwem, rymem, dłótem, pie-
[niem,
Walczyły o Bellony i o Muz koronę.
Starsi idą o lepsze swych rymów pięknością,
A dzielna młodzież walczy siłą i zręcznością;
Gdy nagle w jedną stronę zwrócą wzrok ko-
[biety:
Spojrzę, aż w pośród młodzi pędzącéj do
[mety,
Na złotym wozie w białe zaprzężonym konie,
Młodzian bogom podobny, w laurowéj koronie
(Bo już był wygrał pierwszą nagrodę atlety).
Jak Apollo gdy słońca wóz po niebie wiedzie
Tak on zręcznie powożąc leci, już na prze-
dzie
Mignął białą tuniką i stanął u mety!
Skoczył z wozu, wspaniały, spokojny, szla-
[chetny;
Dostał w nagrodę trójnóg złoty, rzeźbą świe-
[tny,
Ledwie nań spojrzał— bo już jego wielkie
[oczy,
Świetniéj błyszczące niźli słońce w wód prze-
[zroczy,
Utonęły w mym wzroku; bo Eros swą strzałą
Przeszył i zmienił w jedną, naszą istność całą;
Lecz dzieliło nas fatum: zniknął cudny mło-
[dzian,
Sądziłam, że to było bóstwa objawienie
Chwilowe; a gdy znowu w cyrk zwracam spoj-
[rzenie
Znowu mi się on zjawia, nową chwałą odzian.
Na szerokiéj mu piersi złota zbroja błyska,
Tarcz roboty Wulkana— blask nadziemski ci-
[ska,
Cudne jéj rzeźby dziwią swym układem no-
[wym;
Na jasnych, gęstych włosach, na hełmie sta-
[lowym
Pływa mu groźna kita, w ręku ostra dzida,
I miecz krótki u boku. Ta postać Alcyda
Wysoka, silna, grozą Marsową jaśnieje,
Z oczu Zeus grom ciska, Eros się nie śmieje.
Przeciwnik nie tak piękny, ale również silny,
Rzuca dziryt; na szczęście, srogi cios był mylny,
Bo Leander wczas głowę uchylił; i wzajem
Cisnął miedzianą dzidą—greckim obyczajem;
Dziryt pękł, z siedmioskórną spotkawszy się
[tarczą,
A jak strzały, gdy lecąc w cel ze świstem
[warczą,
Z takim zbroi szelestem, z takim pędem sil-
[nym,
Spotkały się ich miecze, ciosem nieomylnym.
Chwila walki!... Przeciwnik koturnem zgnie-
[ciony,
Leży w arenie żywy, ale zwyciężony.
A Leander, jak świetną zwycięzcy nagrodę
Dostał: trzy zbroje, przytém, cztery konie
[młode;
I w tryumfie od całéj młodzi otoczony,
Wyjeżdżał z cyrku zwolna laurami wień-
czony.
Więc patrzę dumnym wzrokiem na tę postać
[lubą,
Która będzie mém szczęściem, a Grecji chlubą!

(Pogląda ku morzu).

Odtąd, jam w gysneceum smutne dni pędziła,
Nawet służba w świątyni była mi niemiła.
Dręczyłam się tajemnie moim smutnym losem,
I więdłam jako Psyche, tęskniąc za Erosem;
Umilkły na méj lirze hymny poświęcone,
Wenus nie odbierała z méj dłoni ofiary,
Zapominałam świeżą kłaść jéj z róż koronę,
Dręczyły moją duszę jakieś dziwne mary;
Co noc, widziałam we śnie Apolina głowę,
I oblicze szlachetne, postać Alcydowę,
I te oczy sokole, to wejrzenie harde,
I te piękne ramiona jako marmur twarde
Widziałam tylko we śnie! lecz morze nas
[dzieli!....

(Patrzy ku morzu).

Sen mię odbiegł, więc co noc, nad brzeg téj
[topieli
Wychodzę na szczyt skały i patrzę na wodę,
Która dzieli ze szczęściem—moje życie młode!

(Patrzy na morze).

Lecz ach! nie ma Leandra!.... Pomnę, gdym
[tu stała
Skamieniała jak Niobe, i w wodę patrzała,
Nagle—jakiś ruchomy punkt spostrzegam w dali!
Patrzę, serce mi bije— o bogi!!... Na fali
Punkt coraz się powiększa—przybliża; o losie!
O matko Afrodyte! Co widzę?!... Erosie!..
Wszczęła się w mojem sercu taka jak dziś
[burza.
Z czarnéj głębi, perłowa postać się wynurza!
Toż ramię marmurowe, toż boskie oblicze!....
Wstrząsają moją duszą dreszcze tajemnicze....
To on!!!...

(Księżyc kryje się za chmurę).

Lecz dziś go nie ma! Tak ciemno!— Polecę
I zapalę pochodnię; z wieży mu poświecę
Niech w pośród fal wzburzonych i nocnéj cie-
[mności,
Zobaczy tu jak zwykle tę gwiazdę miłości
I do niéj co najprędzéj przez straszne głębi-
[nie,
Jak co noc tak i teraz— szczęśliwie przypły-
[nie.

I chybaby (strzeż Wenus) wrząca miłość zga-
[sła,
Żeby wraz nie pośpieszył do kochanki hasła.

(Zbiega w głąb wieży).

SCENA II.

(Morze. — Nimfa Cymothoe wynurza się z wody na delfinie ze złotą lirą w ręku, potém Leander).

CYMOTHOE (śpiewa).

Na dnie morskiem w wód błękicie
Mam pałace kryształowe,
Tam szczęśliwe pędzę życie,
Mam tam gaje koralowe.
Mam tam wszystko, tylko ze mną
Niema tego o kim marzę,
Chodź, a będę ci wzajemną,
I skarbami cię obdarzę.
Rzucę pereł splot bogaty
W kształt korony—na twą głowę;
Dam ci złoto, z muszli kwiaty
I rozrywki coraz nowe.
W wozie z konchy, na delfinach
I w nimf gronie najpiękniejszych,
Będziesz bujał po głębinach
Słuchał pieśni najdźwięczniejszych.
Z rąbków tęczy, z morskiéj piany,
Z promieni, z mgły opalowéj,
Sprzędę ci szatę kochany
Tu—na fali szmaragdowéj.
Piękny greku, w wód głębini
Znajdziesz różne morskie dziwy;
Chodź—zaślubi cię bogini
Będziesz z nią wiecznie szczęśliwy.

LEANDER (płynąc).

Dzięki ci o bogini! lecz płyńmy w swą drogę,
Cześć mogę ci poświęcić—miłości nie mogę.

CYMOTHOE.

Dla czego?

LEANDER.

Czyż wam bóstwom nie znana jest stałość?
Wszak wiesz, że kocham Hero.....

CYMOTHOE.

Jak straszna zuchwałość!
Bądź moim, lub dziś w Ereb mogę cię wpro-
[wadzić.

LEANDER.

Wolę cierpieć i umrzeć, niż kochankę zdra-
[dzić.

(odpływa).

CYMOTHOE (śpiewa).

Ojcze Eolu— o wzywam cię!
Jeden śmiertelny obraził mię;
Wypuść najsroższe wichry z pieczary,
Niech wstrząsną całe morza obszary.
Niech ten grek piękny, mimo żal mój,
Zatopi miłość swą w Lety zdrój;
Niech w burzy morskiéj na wieki zginie
Ten, co obrazić śmiał wód boginię.

(Znika w falach).

SCENA III.

(Krużganek wieży.— Wchodzi Hero z pochodnią w ręku.— Grzmot).

HERO (poglądając na morze).

Czemu się tak na dole piętrzą morskie wały,
A w górze czemu nagle wichry zaryczały?
Grożą burzą kipiące i wzburzone wody!
O niechby mój Leander szlachetny i młody
Mniéj był dzisiaj odważnym niż zwykle....

(Po chwili milczenia).

Wszak nie raz
Przepływał, chociaż morze huczało jak teraz.

(Patrząc na morze).

O bogi! czy to jaki rybitw zabłąkany
Biedny—tak buja—morską falą kołysany,
Samotny i daleki od gniazdka— rodziny,
A pod nim takie czarne i zimne głębiny!
Czy to— on?... Tak... Bo zkądże takie serca
[bicie?...
On znów dla mnie naraża drogie swoje życie!
I co noc się powierza téj fali zdradliwéj
Za jedno uściśnienie kochanki szczęśliwéj.

(Grzmi).

Szczęśliwéj! Lecz jak wątła ta szczęścia budo-
[wa,
Gdy jedna strzała gromu, jedna fala nowa
Może zatopić, strzaskać jéj piękne filary!
I może moc wyroku niezmienna i sroga,
W jednéj chwili pięknego mojego półboga
Posłać, pomiędzy blade Elizejskie mary!

(Zaslania od wiatru pochodnię ręką).

Wietrze nie dmij tak silnie, bo opalę dłonie;
Eolu wstrzymaj wichry, za to, na ofiarę
Jutro ci najpiękniejszych złożę jagniąt parę,
Wietrze nie gaś pochodni! Płaszczem ją za-
[słonię.

(Błyska).

W sinym ogniu błyskawic, na czarnem tle
[wody,
Z wściekłą falą się łamie— mój kochanek
[młody;
Miłość podwaja siły; już blisko. O drogi!
Zaraz ciebie uścisnę, ocalą cię bogi!
Gdy świetny jako Febus wyjdziesz z mórz
[głębiny,
Zaraz spojrzę z rozkoszą w oczy ukochane,
I otrę piękne czoło morską wodą zlane,
Na twe bijące łono padnę, o jedyny!
A twe trudy i moją trwogę o dni twoje
Miłość nam wynagrodzi....

(Burza).

Spiesz się w objęcia moje!—

Zeusie, po cóż gromy dziś tak srogo ciskasz?
Leander blisko brzegu, dobrze, że tak bły-
[skasz ,
Będzie mu widniéj!—Fali straszny kłąb nad-
[biega,
Podnosi go w obłoki i mgły, na dół ciska!...
Nie ma go!!!... Znów na fali biała postać bły-
[ska.
Burza grzmi!... Ocalony!... Już blisko u brze-
[ga!

(Zakrywa płaszczem pochodnię, wiatr ją gasi).

O rozpaczy! Pochodnię płaszczem otuloną
Wiatr zgasił!!... Błyskawicy ogniem rozjaśnioną
Znów widzę czarną przepaść... Jakaś chwila
[ciszy....

GŁOS LEANDRA.

Żegnaj droga!

HERO.

Głos jego moje serce słyszy!
Bo w pośród ryku burzy, wśród bałwanów
[wrzenia,
Mogę słyszéć najsłabsze głosu jego brzmienia.

(Burza wzmaga się).

O ratuj Posejdonie!!... w głowie mi się kręci!...
Hekatombę ci jutro Leander poświęci.
W sinym ogniu gromowym— widzę niespo-
[dzianie
Cudną postać Leandra — na morskim bał-
[wanie,
Jak bóstwo oceanu, wspaniała choć blada,
Jednym rozpacznym ruchem jeszcze walczy
[mężko,
Ocalony! On morze pokonał zwycięzko!
O Bogi!.... Próżna radość.... on w przepaść
[upada!...
Z nim, szczęście me na wieki zniknęło! o mę-
[ki!....
Czyż to morze okrutne pożre jego wdzięki?!
Lecz zaświeć błyskawico, może znów wypły-
[nie.
Bo jeżeli on zginie, to w tę mroczną drogę
I ja pójdę— bo przeżyć go nie chcę— nie
[mogę!...

(Błyskawica).

Zginął!... Już zatopiony w czarnych wód głę-
Ach!!!.... [binie.

(Pada.— Po chwili zbiega z wieży i staje na urwisku skały).

Zszedłeś bez czci pogrzebnéj Leandrze mój
[drogi!
W mroku nad Styxem będzie błądził duch
[twój blady.
Lecz i twa wierna Hero pójdzie w twoje śla-
[dy,
I będzie za cię błagać—czarne piekieł bogi;
Bo dusze co na ziemi tak kochać umiały,
I tam w Erebie mrocznym będą się kochały!

(Rzuca się w morze).

TAJEMNICZE ŹRÓDŁA NILU.

(streszczenie z opisu podróży).

Badania tych źródeł i otaczającéj je miejscowości, są na porządku dziennym w Anglji. Z tego też kraju wyszło nie mało dzielnych podróżników, którzy licznemi odkryciami jeograficznemi przysłużyli się światu. I nie dziw— wiadomo jak znaczne są posiadłości Wielkiéj Brytanji w różnych częściach ziemi. Oficer angielski, tak z lądowéj jak i z morskiéj służby, pierwsze swe lata obowiązku zwykle w kolonjach przepędza, tam polując na dzikie zwierzęta, zaprawia się do przygód i niebezpieczeństw; młodość nęci świat nieznany, wiadomość o odkryciach jakiego podróżnika, rodzi żądzę zrobienia więcéj od niego. Czasem też o takim podróżniku zaginęły wieści, więc trzeba go odszukać, trzeba biedz w jego ślady i zrobić więcéj!...

Wieczna postępu ludzkości historja, jeden bojownik padł na wyłomie więc zastępuje go drugi; on wie o niebezpieczeństwach jakie go czekają, idzie jednak party potężniejszą siłą, mniéj więcéj jedno działanie wywierającą, czy ją nazwiemy uczuciem obowiązku, czy honorem, czy ambicją, czy żądzą sławy i wyniesienia się.

Podobna jest też historja podróżników, którzy niedawno ogłosili drukiem przygody swoje w języku angielskim, a z których zajmujące sprawozdanie znajdujemy w Przeglądzie dwóch światów (z dnia pierwszego stycznia roku bieżącego). Pierwszemi są Speke i Grant, którzy wypłynęli z wybrzeżów Zangebaru dla poszukiwania nie jasno dotąd oznaczonych źródeł Nilowych, późniejszym jest Samuel Baker, który sam o sobie powiada, że ile razy rzucił okiem na mappę Afryki, tyle razy paliła go żądza przyczynienia się do ostatecznego odkrycia tychże źródeł.

Wyspa Cejlan była jego dotychczasowem zamieszkaniem, gdzie polując na słonie, czynnym umysłem dalsze projektował podróże. Speke i Grant, nie tylko, że nie wracali, ale nawet zaprzestali dawać wiadomości o sobie, więc albo może padli ofiarą, albo siedzieli gdzieś trzymani przemocą jakiego czarnego władcy. Baker postanowił ich odszukać; bę-

dąc dosyć majętnym, aby sam ponosić koszta podróży, wybrał się prędko. Nie chciał zabierać nikogo prócz eskorty, jedynym towarzyszem była mu żona. Gdy ją zaklinał, aby się nie narażała na nieprzewidziane, ale zawsze straszne trudy wyprawy, odpowiedziała mu ze stałością: „Nie nalegaj żebym cię opuściła; pójdę wszędzie z tobą śmiało i odważnie, śmierć jedna może nas rozdzielić.

Wypłynęli tedy z Kairu 18 kwietnia 1861 r. Po dwudziestu sześciu dniach wodnéj podróży, stanęli w niższéj Nubji, w Horosko. Tam przesiedli się na wielbłądy. Nie zamierzamy tu kreślić szczegółów całéj téj wyprawy, chcemy dać tylko maleńki jéj obraz dodając, że podróżnicy nasi spotkali się ze Spekem i Grantem i mając udać się daléj w kierunku drogi przez nich przebytéj, wiele ważnych od nich dostali objaśnień. Baker wszędzie wygrywał śmiałością. Znane są wybiegi, kłamstwa i zarazem tchórzostwo dzikich, lecz gdy Baker nawet swoim uzbrojonym ludziom pokazał rewolwer, a żona stojąc za nim, śledziła pilnie który pierwszy weźmie się do zdjęcia kauczukowego pokrowca fuzji, co by chęć użycia jéj zdradzało i miała zaraz ostrzedz męża żeby skarcił zuchwalca, wtedy zwykle zuchwalcy się nie znajdowali i wszyscy wracali do posłuszeństwa.

W drugim roku swojéj podróży, t. j. 1 Lipca 1863 r., przybyli do Obbo wyniesionego nad powierzchnią morza na 3,674 stóp; tam, temperatura umiarkowana sprzyja bujnéj roślinności. Im więcéj szli na południe, tem ta roślinność wspanialéj się rozwijała. Owocowe drzewa rosły obficie, między niemi prześliczne gatunki śliwek i winogron które im krajowcy znosili koszami za kilka sznurków szklanych paciorek. Trawa była tak wysoka i opopleciona pnącemi się roślinami, że chyba tylko wielkiego wzrostu zwierzęta, mogłyby się przez nią przedrzéć. Naturalném było wnosić, że gdyby mieszkańcy tamtejsi nie rozwijali jakiéj takiéj działalności, to by ich ta roślinność przerażająca swą bujnością i siłą, oplotła i nie ledwie zadusiła.

Sześć miesięcy bawił tam Baker, a choroba zabierała mu zwierzęta jedne po drugich. Przyszła kolej na ludzi, trzeba więc było umykać co prędzéj. Nie mając koni, próbowali pod wierzch wołów, naturalnie, że próba się niepowiodła i pani Baker wyrzuconą z siodła została. Chcieli płynąć w górę Nilu aż do katarakty Karouma, gdzie właśnie przed 18 miesiącami Speke przebył tę rzekę. Ale dostrzegli na przeciwnym brzegu grożące im gromady ludzi; Baker widząc, że byłoby nieroztropnie posuwać się ku nim, wysłał parlamentarzy, którzy mieli oświadczyć, że jedzie brat Speka i chce złożyć podarki ich królowi Kamrazi, ażeby podziękować za pomoc jaką Spekowi udzielił. Ale pocóż prowadzisz z sobą tyle ludzi? pytali krajowcy z podejrzeniem.— To są ludzie, którzy wiozą podarki.

— Niech się tedy pokaże ten brat, zobaczemy czy podobny do tamtego brodacza (tak bowiem nazywali Speka). Baker przebrał się na prędce, żeby postacią swoją ile możności przypominać Speka, podpłynął w małem czółenku do brzegu drugiego, a plemię Waniorosów tańcami i wojowniczą mimiką uczciło przybycie jego.

Jednakże naczelnik téj miejscowości sam nie wiedział co począć! Wpuścić Bakera z całą jego eskortą, było to może wpuścić niebezpiecznych nieprzyjaciół; pozwolić mu się oddalić, znaczyło tyle co pozbawić króla bogatych darów, a król takie rzeczy śmiercią karał. Słał więc posłańców do Kamraziego, lecz gdy Baker nie chciał czekać i groził, że odpłynie, dozwolił mu przebyć Nil z żoną i kilkoma ludźmi. Krajowcy zbiegli się tłumnie ażeby się przyjrzyć podróżnym; jednozgodnie stanęli dwoma rzędami idąc od brzegów pod górę, była to nader oryginalna i malownicza procesja; najprzód szli mężczyzni z pochodniami potém rodzaj żołnierzy uzbrojonych w lance. dalej muzykanci z piszczałkami, bębenkami przygrywający tak fałszywie, że już o tém opowiadać nie trzeba, dopiero po nich szedł Baker z żoną i ze służącemi; za temi znowu nieśli dzicy pakunki. Tak postępując po wązkiéj ścieszce wyżłobionéj między skałami granitowemi lub zagłębiającej się w zaroślach, przybyli do wsi Atada, gdzie ich jak najlepiéj przyjęto. Baker przewidując jak liczne nazajutrz, znosić będzie musiał odwiedziny, rozłożył swój namiot pod jedném z tych olbrzymich drzew, które z tysiąc osób nakryć mogą swym cieniem. Tam mógł dawać audjencję gromadom, które przychodziły mu się przypatrywać, dotykać jego osobę i odzież.

W tem spostrzega, że wszyscy biegną spiesznie do namiotu jego żony, poskoczył tam z przerażeniem, czy się czasem co nie stało, rzecz jednak się wyjaśniła w sposób zadawalniający. Dzicy stali w podziwieniu, przypatrując się pani Baker, która się czesała przed namiotem i rozpuściła swoje długie blond włosy, jakich jeszcze nigdy nie oglądano w téj części Afryki.

Były tu jednak ślady pewnéj cywilizacji, grunt lepiéj uprawny wydawał różne produkta, mieszkańcy też byli przyzwoiciej niż gdzie indziéj ubrani. Mieli dość długą suknię, wyrobioną z kory jakiegoś gatunku figi, któréj włóknu umieją nadawać rzadką giętkość. Kobiety przybrane były w podwójne spódniczki z takiéjże saméj tkaniny, a niektóre z nich miały na ramionach rodzaj chu-

stek, których końce krzyżowały się na piersiach. Byli téż tam i kowale i garncarze, ale rozmówić się trudno było z kimkolwiek, obawiali się bowiem dawać żądanych objaśnień.

Wkrótce téż król Kamrazi wyglądający niecierpliwie obiecanych darów, zaprosił cudzoziemców do siebie. Ubrany był wcale wykwintnie; siedział na taborecie przykrytym skórą lamparcią. Był to piękny mężczyzna sześciu stóp wysokości, spojrzenie miał łagodne, a ręce i paznokcie czysto utrzymane, twarz jego dość przyjemna, przypominała raczéj abysyjczyka niż murzyna, brakowało mu zębów siecznych, które były wybite stosownie do mody krajowéj. Głowę miał ogoloną, gdyż Waniorosy nie znają nożyczek.

Baker chciał go ująć od razu wspaniałemi darami, ofiarował mu więc dywan turecki, wielki płaszcz z białego kaszmiru, dwie dubeltówki z potrzebnemi doń nabojami, buciki tureckie, kilka par czerwonych jedwabnych pończoch, szalik czerwony, wielką ilość pasków i naszyjników błyszczących. Spodziewał się tą hojnością uzyskać zaraz od niego przewodnika i eskortę w celu wyszukania jeziora Louta-N'zige. Kamrazi obiecał mu natychmiast, lecz przez dwa tygodnie go zatrzymywać, żeby co dzień od niego wytargował jaki nowy podarunek. Nareszcie stawił się obiecany przewodnik, a w chwili przyjazdu przybył jeszcze Kamrazi i kazawszy otworzyć kufry podróżnych, zabierał co mu się spodobało. Pani Baker wydarł ostatnią jedwabną chusteczkę, żółtą ze srebrnemi frendzlami. Nareszcie zwrócił się do pana Baker z prozbą o podarowanie mu żony. Ten w najwyższém uniesieniu, przyłożył mu pistolet do piersi mówiąc, że to w jego kraju uważane jest za obrazę, która tylko we krwi zmytą być może, ale że jemu daruje życie uważając go za głupie bydle. Kamrazi cofnął się przerażony i usiłował go uspokoić tłomaczeniem, że jeżeli prosił go o żonę, to dla tego, że mu chciał dać swoją: zresztą nie jest upartym pod tym względem i znajduje, że o taką drobnostkę, nie warto było tyle się gniewać.

W dalszéj podróży wielkie zmartwienie czekało Bakera; raz wśród wielkiego upału zwracając się nagle do żony, dostrzegł jak zaczęła się mienić i omdlała, a cała jéj twarz okryła się purpurową barwą. Pochwycił ją w swoje objęcia, położył na nosze na prędce urządzone; lecz przytomność jéj nie wracała. Trzeba było zatrzymywać się co chwila, podnosić jéj głowę, oddech jéj bowiem był tak chrapiący, że się lękał, aby się nie udusiła, zaledwie siłą zdołał jéj usta otworzyć i ochłodzić kilkoma kroplami wody spieczony język. Chociaż ich było wszystkich dwadzieścia osób, nie mógł się jednak nigdzie dłużéj zatrzymać jak dzień, zabrakło by mu bowiem żywności. Postępował więc daléj przy na pół martwéj żonie którą niosło czterech ludzi. Noce przepędzane w chatach murzynów, trawił prawie bezsennie przy jéj łóżku. Wymyślił sobie rodzaj lampki z tłustości i mokremi szmatami chłodząc głowę choréj bezprzytomnéj, przypominał sobie słowa, które do niego rzekła przy odjeździe: „śmierć tylko może mnie z tobą rozłączyć", a tu jakby odpowiedź złowroga, dawały się słyszeć ponure wycia hyjen. Co za przerażająca wróżba, dla siedzącego obok choréj, która nie dawała najmniejszego znaku życia. Czwartego dnia zaczęła mówić niezrozumiałe wyrazy, co Bakerowi nasunęło myśl, że choroba powstała z uderzenia promieni słońca, przeszła w zapalenie mózgu, tak minęło sześć dni strasznych, siódmego pani Baker miała rodzaj konwulsji, po których zupełny bezwład nastąpił. Mąż sądził, że już nadeszła, ostatnia godzina, nakrył ją swym szkockim plaidem i pół omdlały, upadający ze znużenia, zsunął się u stóp jéj łóżka. Tymczasem służący przewidując potrzebę kopania, poszedł zrobić osadę do rydla. Wśród tych okoliczności dzień zaświtał; Baker otwiera oczy, wpatruje się w żonę, i o! radosne zdziwienie, znajduje ją wprawdzie nieruchumą i bladą jak trup, ale słyszy jéj oddech regularny, jak u śpiącego człowieka.

Była jeszcze krótka chwila niespokojności, lecz nareszcie chora przebudziła się— przemówiła, pojęcia jéj były jasne, cierpienie minęło.

Jakże raźni i weseli po dwóch dniach odpoczynku puścili się w dalszą drogę! Zdawało się, że sama natura przybiera się dla nich w świąteczną szatę radości. Okolica dotąd pusta i nieurodzajna, zaczęła się przemieniać w gaj roskoszny, w oddaleniu rysowały się błękitnemi linjami gór wierzchołki, a gdy się o ich odległość zapytali mieszkańców, odebrali odpowiedź, że te góry są położone za jeziorem *Louta-N'zige*, u brzegów którego przy pośpiechu, przed wieczorem stanąć mogą. Wiadomość ta, to nowe źródło radości dla Bakera. On właśnie tam dotrzeć pragnie; nie tylko żaden z jego poprzedników, ale i Speke u jeziora tego nie był, choć mu doń wskazał drogę, jakoż Baker przybył tam w krótce, a odkrycie Louta-N'zige główną zasługę jego dwuletniéj podróży stanowi.

Cała gromadka podróżnych uległa po zatrzymaniu się nad brzegami wody gorączce, którą musi przebyć każdy, znajdujący się tam po raz pierwszy. Mało więc na nich uczyniła wrażenia majestatyczna piękność téj przestrzeni wodnéj bez granic. Po wyzdro-

wieniu, Baker upomniał się o statki obiecane mu przez króla Kamrazi; pośpieszono po nie ze zwykłym murzyńskim pośpiechem, to jest, że na oczekiwaniu cały tydzień podróżnym upłynął. Ruszyli nareszcie, Baker urządził dla żony rodzaj budki, żeby ją od powtórnego uchronić przypadku, a sam przypatrywał się bacznie wioślarzom o których wierności nie miał żadnych rękojmi. Pierwszego też zaraz dnia, gdy się zatrzymali u brzegu dla wyszukania pożywienia, wioślarze wyszli na ląd i więcéj nie wrócili. Trzeba więc było powierzyć wiosła ludziom nieświadomym składającym eskortę. Baker niemi dowodzi, dopomaga im i po długiem kręceniu się na miejscu, zdołali jakokolwiek się kierować. Jednak w połowie drogi napada ich, jedna z tych burz podrównikowych, od których samego opisu, włosy na głowie powstają. Blask słońca zastąpiony błyskawicami, których częstość i gwałtowność robi wrażenie ogólnego pożaru, łoskot piorunów ogłuszający, przerywają tylko strumienie potopowego deszczu. Przybili nareście do brzegu, lecz znikąd nie mogą dostać żywności. Baker zabija krokodyla, ale nie każdy znieść może mięso jego przypominające smak zepsutéj ryby, a zapach piżma. Natrafili przecież na wioskę zamieszkałą przez ludzi nader gościnnego usposobienia, którzy im za małe podarunki dostarczyli dwieście kilkadziesiąt sztuk drobiu.— Spokojniéj więc już mogli przypatrywać się brzegom jeziora nader ożywionym.

Hipopotamy licznemi gromadami to pluskały się w wodzie, to nad brzegiem igrały, krokodyle leżały na piasku w niezliczonéj liczbie, a z gór stada słoni śpieszyły ochłodzić się w nurtach. Tak płynąc podróżni nasi trafili na miejsce w którem Nil wpływa do jeziora, aby z północnéj jego strony znowu daléj wypłynąć. Długo powierzchnia jego była cicha i niczem nie zmącona, aż dopiero na drugi dzień, prąd bieżącéj rzeki uczuli. O godzinie 10-éj musieli już dobrze robić wiosłami, żeby mu się oprzeć. Głuchy szmer i hałas, zaczął zwracać ich uwagę; w miarę jak postępowali dźwięki te stawały się podobne do przeciągłego grzmotu i zaledwie w bok zakręcili, najwspanialszy obraz przedstawił się ich oczom. Brzegi ścieśnione w tym miejscu piętrzyły się do 300 stóp wysokości tworząc jakby olbrzymie schody z granitu, po których najcudniejsze kobierce rozścielała zieloność. Skaliste złamy leżące na dnie rzeki, stawiały opór wodzie, która pieniąc się i hucząc przeskakiwała zapory, spływając w przepaść, jaką sobie wyżłobiła sama; był to jeden z najpiękniejszych wodospadów, który Baker nazwał, ***katarakta Murchisona*** od imienia prezesa towarzystwa jeograficznego Londyńskiego.

Opuściwszy drogę wodną, Baker dostał febry, która go z nóg zwaliła. Trzeba było znów się udać pod protekcję króla Kamrazi, a ten z wielką radością ich przyjął, spodziewając się ściągnąć z nich nie małe podarki. Kamrazi prowadził wojnę z bratem. Na raz rozchodzi się wiadomość o zbliżaniu nieprzyjaciela połączonego z bandą jednego handlarza słoniowéj kości; trwoga powszechna, kobiety płaczą i załamują ręce. Król wystraszony wpada do namiotu Bakera, ten mu winszuje, że zrzucił swój ciężki płaszcz z kory, a przybrał się w odzienie lżejsze i stosowniejsze do bitwy.

— Do bitwy! powtarza Kamrazi, ja się tak do ucieczki przebrałem. Baker kazał wywiesić angielską flagę i posłał do Mohameda owego handlarza, który był jednym z napastników, zawiadomienie, że on całą tę ziemię Unyoro, zajął pierwszy w imieniu Wielkiéj Brytanji, która nad nią swoją rozciągnęła opiekę, rozkazuje mu więc się wynosić. Arab wiedział czem to pachnie zadzierać z Anglją, lubo więc odpowiedział zuchwale, zaraz się usunął.

Pełen uwielbienia za oswobodzenie Kamrazi, gdy znowu późniéj groziło mu niebezpieczeństwo, prosił Bakera żeby mu zostawił na zawsze chorągiew, która ma tak cudowne własności odpędzania nieprzyjaciół.

Baker w trzecim dopiero roku po wyjeździe z Kairu przybył nareście do Suez. Jeżeli podróż jego nie przyczyniła się do stanowczego rozstrzygnięcia kwestji o źródłach Nilu, wyjaśniła jednak wiele o nim szczegółów. Pod nazwą Nilu trzeba rozróżnić dwie rzeki: *Nil Równikowy* i *Nil Abisyński*. Pierwszy płynie cały rok, a wody jego są błotniste i niezdrowe, drugi jest perjodyczny, pochodzi z wody deszczowéj, która jest zdrową. Okolice z których wychodzą, podlegają téż różnym warunkom klimatycznym.

Nil biały czyli równikowy przypływa z krajów gdzie pora deszczów trwa 10 miesięcy, od lutego do października. Nil perjodyczny, który rozpływa się w warstwę wilgotną po gruncie Egiptu, winien swoje przymioty użyźniające Abissynji, gdzie pora deszczów trwa tylko trzy miesiące, od czerwca do września, ale deszcze te są gwałtowne jak potopy. W jednéj chwili każdy parów staje się potokiem, każde wyschłe łożysko w olbrzymią rzekę się przemienia. Trudno wypowiedzieć tę nieprzepartą potęgę, jaką wówczas wywierają wody. Porywają z sobą wszystko, kruszą, łamią, rozkładają materje mineralne i organiczne, przerabiając je na ten muł sławny, od najdawniejszéj starożytności, który jest źródłem bogactwa Egiptu.

Co do stanu moralnego i umysłowego tamtejszych mieszkańców, Baker nie nader zadawalniające podaje szczegóły. Nie mają naj-

mniejszego pojęcia o istocie najwyższéj i téj potrzeby wielbienia Jéj pod jakąkolwiek bądź postacią, potrzeby wrodzonéj nawet dzikim ludom nie doznają. Obyczaje ich są zwyczajami, które nie wiedząc zkąd do nich przyszły. Smutno pomyśléć, że my tym ludom z naszéj cywilizacji, podajemy zwykle to co stanowi stronę jéj ujemną i niszczącą. I tak: Baker założył u króla Kamrazi gorzelnię! Gdy Speke podarował jednemu z tamtejszych władców fuzję, ten sprobował jéj zaraz na człowieku, który przechodził najbliżéj jego mieszkania. Oto są pierwsze podarki jakiemi zwykle wyżsi moralnie i umysłowo, przysługują się ciemnym i nieświadomym.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

STRÓJ PANI POLSKIÉJ Z XVIII WIEKU.

Ubranie księżnéj jest z drugiéj połowy XVIII wieku, więc tylko sto lat dzisiejsze mody od ówczesnéj dzieli. Dziś nie włożylibyśmy téj materji o wielkich deseniach, szytych pstremi jedwabiami i złotem, materji bogatéj zapewne, ale stosowniejszéj na ornat lub kapę, niż na powiewną odzież niewieścią, lecz krój stanika tego, z wyłożeniem brabanckiéj koronki, bynajmniéj nas przestarzałością nie razi. Dziwniejszym nam się wydać może układ włosów, zwłaszcza, że pudrowane; kitka zaś z prawego boku głowy wpięta, na któréj się trzęsą wielkości orzechów djamenty, oraz brosza i naszycie stanika drogiemi kamieniami, świadczą tylko o wielkich bogactwach kobiety, która to wszystko włożyć na siebie mogła. Dziwna zaiste sprzeczność z tą twarzą niepowabną, smętną, w któréj rozpatrując się, cały dramat usnuć można tém łatwiéj, że to jest żona owego Hieronima Radziwiłła, znanego pospolicie pod nazwą księcia chorążego litewskiego, sławnego dziwaka i awanturnika, w jakich wiek ówczesny obfitował. Jego bawienia się w króla, wypowiedanie wojny sąsiedniemu, podobnemuż królowi Sławacińskiemu, którego sam z jednego z dworzan swoich utworzył, w sąsiednim Białéj Sławacinku, bardziéj go kwalifikują do domu obłąkanych, niż wybryki krewnego jego, księcia Marcina, który chciał zostać żydem i jadał koszerne. Aniela Miączyńska wojewodzianka czernichowska, któréj wizerunek tu podajemy, była trzecią żoną księcia chorążego. Dwie pierwsze: Teresa Sapieżanka i Magdalena Czapska nie wytrzymały długo pożycia pełnego upokorzeń, goryczy, okrucieństw doznawanych i każda z nich uciekła po kilku latach małżeństwa. Doszło to zapewne do uszu panny wojewodzianki czernichowskiéj, nie wiemy jednak, co ją przyjednało, czy bogactwa Radziwiłłowskie, czy wola rodziców, dość że w dwudziestym czwartym roku życia wjeżdżała jako nowo zaślubiona, na zamek bialski, którego głębokie podziemia zaledwie tłumiły jęki licznie więzionych, za drobne przestępstwa, sług i poddanych i zaczęła pę-



w podziwieniu przypatrywali się pani Baker, która się czesała przed namiotem.

dzić równie ciężki, jak jéj poprzedniczki żywot, obok człowieka powszechnie niecierpianego, którego z rozpaczeni domownicy, kilka razy otruć usiłowali. Nareszcie po latach pięciu, śmierć męża wyzwoliła ją od tych pęt nieznośnych, lecz wprzódy ileż łez rzeczywistéj boleści, spaść musiało na te łzy djamentowe, co drgały, u jéj naszyjników i spinek kosztownych, błyszczących znamion jéj drogo okupionego dostojeństwa.

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

(Dalszy ciąg).

VII. Charakter reform księżnéj.

Przychodzimy do najważniejszéj sprawy, to jest do reform księżnéj: zacne i szlachetne, prowadziły do podniesienia materjalnego narodu; z góry powiedzmy jednak, że były w znakomitéj części naśladownictwem.

Reformy te dwóch stron życia publicznego dotykały zarówno. Podnosiły sprawę miast i ludu, więc były społeczne: tworzyły zakłady naukowe różnéj wartości i wpływu, więc były naukowe, wychowawcze, przysposabiały nowe pokolenia, wdawały się w sferę działań komisji edukacyjnéj.

W sprawie społecznéj księżna jedna z pierwszych wystąpiła na pole pracy i oddajmy cześć dziwnéj wytrwałości, od któréj nigdy nie odstąpiła. Reformy innych panów różne spotykały koleje, jedne nie utrzymały się drugie walczyły z uprzedzeniem, złą wolą i nieszczęściem, p. Jabłonowska do ostatnich chwil Rzeczypospolitéj doskonaliła swoje państwo, stroiła je jak kokietka i rozkochała się w swojém prawodawstwie. Zachwyciła téj energji od ks. Brzostowskiego, który wszystkim reformatorom stawał się wzorem i przykładem; szlachetne serca zabiły lub zapaliły się żądzą naśladownictwa. Pani Jabłonowska wysłała na miejsce do Pawłowa rachmistrza swojego Żyłłoka, z poleceniem, żeby się bliżéj w rzeczy rozpatrzył i z księdzem referendarzem się rozmówił (7 marca 1775 r. Pamiętniki o Janie śniadeckim Balińskiego, II, 462). Wtedy natchnienie owładło nią i dało kierunek całemu życiu.

Ale była druga strona, wychowawcza, naukowa, tych reform. Tam jeszcze dobre serce przewodniczyło księżnie, tu już żądza odznaczenia się, błyszczenia, bo rzeczy, które brała na się, były w znakomitéj części przedwczesne u nas, a więc zbytkowe i nie praktyczne.



Aniela z Miączyńskich Radziwiłłowa.

Księżna widziała wszędzie za granicą muzea i gabinety archeologiczne, historji naturalnéj, biblioteki. W Polsce nie widziała ich nigdzie, same akademje nasze, krakowska, wileńska, zamojska, nie posiadały żadnych zbiorów. Akademje nasze nawet nie pojmowały potrzeby gromadzenia takich zbiorów; podupadłe, średniowiecznością obrosłe, teologiczno - scholastyczne, nie miały wydziałów technicznych, nie wykładały nauk przyrodzonych. Nie było w ogóle ludzi w Polsce, któryby się znali na tych rzeczach. Jeżeli powstał jaki uczony badacz natury, np. ks. Rzączyński, usposobiła go sama natura, nie akademja żadna i był po za sferą uczonych profesorów. Za Stanisława Augusta pojawiło się więcéj tych z natchnienia badaczy, ks. Kluk, Ładowski. Jundziłł, Osiński i t. d. Lekarzy nawet nie kształciły nasze akademje, medycyna wykładana w nich ograniczała się na felczerstwie, sam lekarz był postacią niezwykłą,

na którą bodaj nie z podejrzeniém jak na czarownika patrzano. Lekarze byli sami Niemcy, umyślnie przez panów ściągani dla wygody dworu. Więc łatwo bardzo każdy sobie dzisiaj zrobi pytanie, co za cel był księżny w założeniu np. gabinetu historji naturalnéj w Siemiatyczach? Mógłaż księżna wyręczać akademje, stawić się na ich stanowisku? Dla kogo był ten gabinet naturalny? Nauczył że co kogo? Czy nawet kogo zainteresował? Był że to gabinet osobliwości narodowych, fauną i florą polską? Kluk by więcéj miał z niego pożytku, jak Siemiatycze i kraj cały. Dzisiaj robimy sobie to zapytanie, które w swoim czasie nie miało żadnego znaczenia, bo księżna słynęła zarówno swojemi reformami, jak i gabinetem historji naturalnéj.

Zaczynała wszystkie swoje reformy księżna od budowania kościołów i pałaców. Zaspakajała tu w części potrzeby ducha i majestatu.

Trzy miała ogniska reform, bo trzy miasta, Wysokie, Kock i Siemiatycze. Siemiatycze wybrała na stolicę, bo w tém miasteczku siedziała i utrzymywała dwór swój, kiedy po innych dobrach miała tylko swoich urzędników. Trzy klucze swoje podniosła na państwa. Mówiło się więc: państwo siemiatyckie, państwo kockie, państwo wysockie. Czasami tym państwom przydawano nazwiska hrabstw, ale księżna miała więcéj nieco zdrowego rozsądku, że nie wydawała osobnych erekcji jak mąż, który podnosił księstwa przez uniwersały. Cóż dumie jéj szkodziło trzy państwa nazywać urzędowo hrabstwami lub księstwami? A jednak się wstrzymywała, wolała przestać na państwach, bo w nowéj epoce Stanisława Augusta, ustępowały powoli śmieszności pańskie, ludzie się brali do pracy.

Księżna, mianowicie państwo swoje Siemiatyckie, czułą otuliła opieką. Zdaje się że w Siemiatyckim kluczu próbowała reform czy się jéj udadzą. Mniéj doświadczył jéj opieki Kock, a najmniéj Wysokie, o którem mało co nawet słychać w jéj dziejach. Porządki ekonomiczne zaprowadzała już wszędzie jedne i też same, ale wszystkie reformy wychodziły z Siemiatycz. Państwa księżny nie graniczyły z sobą, owszem były porozrucane. Siemiatyckie leżało na Podlasiu, w ziemi drohickiéj, Kockie w województwie Lubelskiem, w ziemi łukowskiéj; Wysokie zaś w województwie Lubelskiém, lecz dostało się późniéj na własność bratu księżny, kanclerzowi litewskiemu, który wkrótce wysoko urosł, ze starosty pańskiego: miała na Wysokiem księżna tylko dożywocie.

Chciała Siemiatycze zrobić przybytkiem handlu na Podlasiu, największym targiem, jakby dzisiaj powiedziano. Wymurowała tedy ogromnego rozmiaru dwupiętrowy ratusz ze sklepami i nadała rozmaite przywileje dla handlujących w Siemiatyczach. Żeby ściągnąć ludność stałą i napływową do miasteczka, wyrobiła u króla przywiléj dla niego na dwa jarmarki, które się odbywać miały na św. Maciej i na św. Kajetan, w lutym i sierpniu. Już na św. Maciej w r. 1776 spraszała przez gazety kupców (Gaz. Warsz. 1776 Nr. 16). Trzeba jéj przyznać wiele energji, że co przedsięwzięła, to doprowadziła do skutku, więc umiała rozmaitemi sposobami rozszerzać wiadomość w kraju o tych jarmarkach. W Polsce ówczesnéj, pozbawionéj wszelkiego rodzaju komunikacji i dróg, rzadkiéj tylko energji można przypisać fakt, że jarmarki siemiatyckie udawały się jako tako. Księżna poczęła sobie budować pałac, którego fundamenta dopiero w roku 1777 król oglądał, ciekawy zobaczyć jak rosło i urządzało się miasteczko. Na środku dziedzińca przed pałacem postawiła księżna pomnik dla jednego z przodków swoich Pawła Sapiehy. Nie wiemy dla czego z licznego szeregu znakomitości jagiellońskich, tego Pawła sobie wybrała. Nie wiemy nawet który to Paweł; będzie to zapewne pierwszy założyciel Kodnia, wojewoda nowogrodzki, albo podkanclerzy Litewski zmarły w r. 1635; albo wreszcie ów hetman Litewski, który zacnym obywatelem się pokazał, podczas pierwszéj wojny szwedzkiéj. Pałac księżnie był potrzebny koniecznie, myślała w nim pomieścić projektowane gabinety swoje i zbiory.

Toż w Kocku, księżna wystawiła okazały pałac, około którego wzniosła wiele murowanych budowli i niejako dwór założyła. Na około pałacu założyła ogród, do którego najrzadsze zgromadzała rośliny. Pałac w Kocku był podobno nawet piękniejszy i okazalszy jak w Siemiatyczach. To zdaje się naprowadzać na myśl, że z początku myślała Kock obrać za swoją stolicę i niewiadomo dla czego los padł na Siemiatycze. Przyozdobiła i miasto. Rynek kamieniami w czworogran zaczęła budować.

Obok gmachów pięknych stawiała kościoły i pod tym względem gotowiśmy ją uważać za niewiastę starodawnych narodowych podań. Wiek XVIII u nas za doby stanisławowskiéj coraz więcéj wolterjański przybierał koloryt. Wiara uleciała z kościołów, któremi zarządzali źli kapłani i biskupi, zarażeni pojęciami wieku. Upowszechniała się zasada, że społeczeństwo wyższe nie potrzebuje żadnego kościoła, że może się rządzić rozumem i że wiara każda niepotrzebna, tylko może dla ludu. Ustaje też nagle dobroczynność dla kościołów wielkich panów polskich. Niedawno jeszcze przed pół wiekiem idąc za podaniami przodków, budowali kościoły, nadawali im przywileje, każdy uważał sobie za świętą powinność zrobić pobożną fundację, bez tego nie

było im życia. Teraz lud tylko się modlił, panowie kościoły opuścili, przebrało się starowiernych biskupów. W podobnéj chwili buduje przykład księżny wojewodziny bracławskiéj. Sądzimy, że była szczerze pobożną, że dawnego zachowała ducha, że tych świętych zakładów na jakie się zdobywała, nie stawiała tylko dla ludu, ale że to dusza fundatorki radowała, unosiła się ku Bogu. Jeszcze lata jéj dzieciństwa i młodości spłynęły wśród cichéj pobożności przodków; stryj koadyutor wileński był zacnym i prawdziwym katolickim biskupem.

Pani wojewodzina znosiła więc stary kościół w Kocku i postawiła na to miejsce nowy i nader piękny. W Siemiatyczach nie potrzebowała budować, bo przed wiekiem pomyślał o tém kto inny, a niedawno do tego kościoła sprowadził misjonarzy Michał Sapieha i włożył na nich obowiązek doglądywania parafji. Lecz za to zdobiła księżna kościół siemiatycki w obrazy Czechowicza. Nie dosyć na tem: żeby ślad jaki swojéj pracy zostawić w tych miejscach, księżna fundowała kościoły i klasztory siostr miłosierdzia razem w Kocku i Siemiatyczach, i podczas sejmu wielkiego, w roku 1790, wyrobiła konstytucję, która zatwierdziła te jéj fundacje na dniu 3 grudnia. Nietylko więc nowe kościoły otwarły się dla chwały Najwyższego, ale i nowe przybytki dla praktykowania w nich chrześcijańskiéj miłości; szpitale nadane szczodrobliwością księżny.

VIII. Dzieła i fundacje księżny.

Założyła księżna w Siemiatyczach drukarnię i w niéj wydrukowała swoje rozporządzenia, które zwiastowały dobę reform. Musiały w téj drukarni wychodzić najprzód pojedyncze uniwersały i rozkazy, tabelle i wzory, aż wreszcie i całe księgi, które już były zbiorami rozporządzeń, istne Volumina Legum państwa księżny wojewodziny. Drukarnia to była na małą skalę, li tylko dla własnego użytku, dla tego nazywano ją „pokojową”. Nie drukowała więc nic innego i dla nikogo innego, tylko sprawy księżny i dla Siemiatycz. Nie znamy bliżéj historji téj drukarni. Luźne jéj kartki rozleciały się po świecie, któż je dzisiaj odszuka? Co większa? nawet książek drukarni siemiatyckiéj nie posiadają najbogatsze biblioteki. To co z książek pani Jabłonowskiéj doszło do nas, pochodzi z przedruku. Gdyby nie ten przedruk, nawet byśmy pojęcia nie mieli o rozległości jéj literackich przedsięwzięć. Ależ te przedruki z drugiéj strony dowodzą wielkiego zajęcia, jakie prace reformatorskie księżny budziły. Każdy rad był wiedzieć co zrobiła i co jeszcze pragnęła zrobić. Oto szereg książek siemiatyckich:

(Dalszy ciąg nastąpi).

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

— Był żeby taki? odezwał się Feuerstein?

— Tak jest, a więc interes nasz skończony.

— Jaki interes, jeżeli śmiem zapytać?

— Czyż spekulant może takie pytania zadawać? nie wytrząsasz interesów z rękawa. Nie sądzę abyś pan więcéj żądał. Ja nie cofam dziesięciu tysięcy; gdzież pan masz dokumenta?

— Jeżelim pana dobrze zrozumiał, to pańskie słowa stosują się do okoliczności, którą sądziłem ukrytą w najgłębszéj tajemnicy.

— Co za tajemnicy, alboż doktor Schneeball jest człowiekiem, przed którym by co się ukryć mogło. Odkupiłeś pan za bagatelę od mieszczanina Auzelma, jego prawo do dziedzictwa, sam zaś lękając się kłopotów, a może i kosztów procesu, wolałbyś nawzajem komuś te prawa odprzedać, a dziesięć tysięcy była to summa którą pan oznaczyłeś w umyśle swoim. Czy nie prawda?

— Podziwiam pańską bystrość, gdyż nawet zgadnąć nie mogę, jakim sposobem moja tajemnice zdradzoną została?

— Już mniejsza jak się to stało. dosyć, że jestem człowiekiem którego żadne ryzyko i processa nie odstraszają. Podejmowałem się takich których by sam djabeł się uląkł. Chcę téż kupić i owo dziedzictwo. To mówiąc, Schneeball wyjął z pugilaresu bilety bankowe, śledząc jakie one wrażenie robią na Feuersteinie.

To wrażenie zdawało się rzeczywiście zadawalniające.

Ustępuję panu, odparł Feuerstein, pochylając głowę z uszanowaniem. Przyniosłeś mi pan dowody jasne, że nie potrzebuję szukać kogo innego. Nie domyślałem się nigdy, żeby w Bolcen byli ludzie tak energiczni, jak pan. Stajesz się panem, nie wiedzieć zkąd mojéj tajemnicy przychodzisz do mnie, kładąc mi niejako pistolet na piersiach, abyśmy skończyli interes, na którym rzeczywiście możesz zarobić wiele.— Po twarzy doktora przebiegł uśmiech pełen zarozumiałości, słysząc jak jego bystrość i zdolność do interesów wychwalają.

Feuerstein wyjął sporą paczkę i rozłożył ją przed doktorem, mówiąc niedbale:

— Przejrzyj pan te papiery, zdaje mi się, że panu dadzą przekonanie o prawdziwości dziedzictwa. Schneeball chwycił za dokumenta, oglądał je na wszystkie strony, i czytał półgłosem testament, będący w języku francuzkim, podpisany przez Michał Nikolskiego (naturalnie jakiegoś polskiego grafa), w którym tenże ubolewa, że nie pozostawia potomków i błaga żeby odszukano w Niemczech familję jego babki Tekli Anzelm, o któréj świetnym losie, nie wiele wiadomości zapewne doszło do jéj rodziny. W końcu tego testamentu stało: «Akt ten rozkazuję spisać w dwóch egzemplarzach; jeden złożyć do sądu, a drugi oddać w ręce mojego marszałka dworu Rudolfa Feuerstein, na którego kładę obowiązek, wyszukania rodziny Anzelmów. On jako rodowity niemiec i wierny sługa, zdaje mi się najodpowiedniejszym do wykonania mojéj woli. Jeżeli jednak w ciągu lat trzech, poszukiwania okażą się daremne, rząd staje się właścicielem mojego majątku, którego wartość w załączonym spisie objęta». Głos Schneeballa stawał się coraz donośniejszym i bardziéj ożywionym przy czytaniu, które go utwierdzało w nadziei, że znalazł klucz do ogromnej fortuny. A gdy jego chciwe oko, padło na inwentarz hrabiowskiego majątku, gdy zaczął czytać wyliczanie zamków i wszystkich kapitałów i kosztowności, które w wysokich cyfrach oznaczone były, lubo Feuerstein niedbale zrobił uwagę, żeby się nie uwodził wysokiemi cyframi, gdyż tam stoją tylko polskie złotówki, nie zaś niemieckie guldeny, jednak adwokat cały rozpromieniony, zapewniał go, że byłby kontent, choć by to były polskie grosze.

— Tylko jeszcze podpis! wołał, dajże mi pan obejrzeć podpis. I schwycił za papiery, poszedł do okna pomrukując tym żargonem, którego się dawno wyrzekł, a do którego zawsze wracał, gdy go opanowała żądza pieniędzy. Obejrzał starannie pieczęć z hrabiowskim herbem, podpis i akt legalizacji dopełniony w urzędzie miejscowym. Najzupełniéj ze wszystkiego zadowolony, rzucił Feuersteinowi, owe dziesięć tysięcy, dodając: ażebym tylko tego nie żałował.

— Jeżeli pan masz jakąkolwiek wątpliwość, odpowiedział Feuerstein, chłodnym i niedbałym tonem, wyciągając rękę po papiery, to uważaj że o tym interesie nawet mowy między nami nie było.

— Cóż to? zawołał przestraszony Schneeball, pan się cofasz? Mam pana za uczciwego człowieka, u którego słowo jest święte, bierz pan swoje pieniądze, a ja sporządzę akt, na mocy którego, pan mi ten interes zbywasz. Gdzie jest przekaz praw własności, któryś pan od Anzelma otrzymał?

— Tu jest.

— Dobrze, dobrze, wołał doktór, gładząc go i oglądając. Z jakąż niedbałością chowasz pan takie papiery; w taki sposób nigdy pan nie zostaniesz bogatym człowiekiem.

— Nie mam też do tego usposobienia, jak się pan mógł domyśleć, po niskiéj cenie, za jaką zbyłem panu własność moją.

— Tego pan znowu nie mów. Daję panu w rękę gotowe pieniądze, a Bóg wie kiedy je odnajdę. Proces zawsze dużo kosztuje, nawet wtedy, kiedy się jest swoim własnym adwokatem. A kto wie czy między mną a tamtejszym rządem do procesu nie przyjdzie.... Mimo tych przewidywań, Schneeball wrócił wesoło do domu, lubo jego kieszeń była o dziesięć tysięcy guldenów lżejszą. Przyszedłszy rzekł do swego pisarza: Idź i poproś do mnie pana Löve. Wkrótce wpadł tenże zadyszany do pokoju.

— Kazałeś pan, jestem, lecz mów prędko, gdyż czas jest kapitałem, który łatwo zmarnować, ale odszukać w kieszeni nie można.

— Przepraszam bardzo żem panu przeszkodził.

— Co to jest przeszkodził? Wiem że pan jesteś właścicielem Bolceńskiéj gazety, dla tego też możesz rozkazywać mnie, który jestem jéj twórcą i administratorem. Nigdy byś pan nie uwierzył co ten dziennik daje mi do czynienia. Gdyby dzień miał 24 godzin, ja zaś cztery ręce i dwie głowy, któreby miały własność nie zasypiania nigdy, to jeszcze nie miałbym odpoczynku.

— Zanadto się też pan mozolisz, kochany panie Löve.

— No co robić, cóżby się z dziennikiem stało, gdyby nie moje usiłowania? Czyście mnie na to panowie sprowadzili, bym ręce założył? Nie, muszę dziennik nasz postawić na nogi. Czyście mnie nie zapewnili dziesiątego procentu? Widziałeś pan dzisiejszy numer? tam jest korrespondencja ze stolicy, którą sam napisałem, jak to dobrze wygląda, że w stolicy wiedzą o naszem mieście, to mu już daje nie małe znaczenie. Albo znowu takie ustępy: „Piszą z Bolcen to i owo, do tego lub owego dziennika wychodzącego w stolicy.” a to wszystko ja pisałem, ale też nasza redakcja płaci wszystko osobno co się w jéj łonie pisze.

— Przyznaję kochany panie Löve, że się znasz na interesach, dla tego téż pomocy twojéj potrzebować będę, do zajęć ważniejszych niż administracja dziennika. Wdałem się w rozmaite interesa, których ciężar przygniata mnie. Pan wiesz, że buduję kolej żelazną, że nabyłem kopalnie węgla kamiennego, zakładam teatr, wyrobiłem sobie przywilej na oświetlenie miasta gazem; już to wszystko obarcza mnie porządnie, ale nie na tém koniec. Chcę wybudować hotel olbrzymi naprzeciw dworca kolei żelaznéj, muszę jak panu wiadomo, utrzymywać nasz dziennik, a przytém nabyłem praw do wielkiego dziedzictwa, które wyjaśnić i dowieść trzeba.

Dodaj pan do tego moją praktykę, jako adwokata, moje zajęcie jako członka gminy miejskiéj, a będziesz pan miał wyobrażenie, co leży na mojéj głowie.

— Podziwiam pana, zawołał Löve w zachwyceniu, pan masz jeszcze więcéj do roboty jak ja, jeżeli chcesz wszystkie interesa dobrze poprowadzić.

— Dla tego téż chciałbym, odpowiedział doktór, część tych kłopotów złożyć na barki szanownego pana Löve. Zakładam właśnie kancellarję centralną, dla wszystkich moich przedsięwzięć i chcę cię kochany panie, mianować głównym dyrektorem.

— Głównym dyrektorem! powtórzył z ukontentowaniem Löve, to wcale nie źle. A czyś pan oznaczył dochody głównego dyrektora?

— Ma się rozumieć. Dochód stały nie jest tak wielki, ale tantiemy, kochany panie Löve, tantiemy....

— Będą więc tantiemy, powtórzył Löve z zadowoleniem. Dobrze panie, znalazłeś we mnie potrzebnego ci człowieka. Pan nie wiesz co to za bodziec leży, w tym wyrazie tantiema! To pobudza jakby czarodziejską rószczką ducha produkcyjnego. Dochód stały, to wieczna stagnacja, ale tantiema, wyrażająca: „im więcéj, tém więcéj” potęguje się do nieskończoności.

— Rzecz pierwsza, od któréj pan zacząć musisz swoje czynności, jest ta, żeby wynaleść pieniędzy. W tyle się wplątałem przedsięwzięć żem moje zapasy wyczerpał; potrzeba nam więc będzie kapitałów.

— Potrafię ja ich przyciągnąć, tylko mi pan pozwól. Wszak nie raz już potrafiłem zrobić coś z niczego. Czy nie moim staraniem dziennik nasz ma już dwa tysiące prenumeratorów, a wtedy walcząc z nieprzyjaznemi okolicznościami, nie byłem jeszcze głównym dyrektorem i nie mogłem tym ważnym tytułem ludziom inponować. Jako głównemu dyrektorowi kancelarji pana dyrektora Schneeball, będzie mi łatwo, nie jedno przyprowadzić do skutku. Wypuścimy akcje na kopalnie węgla i zaraz będą pieniądze, a jedyny sposób, w jaki mi pan będziesz mógł okazać swoję wdzięczność, jest, żebyś mi ich pan sto podarował.

— Nie mam nic przeciw temu.

— Ach! jak pan jesteś wspaniałomyślny, jak pan umiesz dodać mi ducha, zobaczysz pan jak nam akcje rozkupią, albož to nie mamy naszego dziennika, który je będzie zachwalał.

— Doprawdy pan sądzisz, że znajdziemy dużo nabywców?

— Nie bądź że pan małéj wiary, nie znasz że pan ludzi, jak są pochopni do każdego przedsięwzięcia, gdy im się w przyszłości, nadzieje wielkiego zysku pokaże.

Gdy tak Löve rozwijał swoje projekta, zapukał ktoś do drzwi. Proszę wejść, zawołał Schneeball niecierpliwie i we drzwiach ukazała się postać elegancko ubranego człowieka.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Schneeball? a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, mówił dalej: Nazywam się Adolf Sauerling, jestem posłannikiem banku pewnego niemieckiego miasta. Bank ten chce tu założyć swoją filję....

— Będziemy nawet mieli bank, wykrzyknął z radością Schneeball, pan przyhodzisz w samę porę.

(Pomijamy długie szczegóły téj rozmowy, dość że owemu panu Adolfowi równie łatwo przyszło ułożyć się o bankowe interesa, jak Feuersteinowi o dziedzictwo).

Sara i Ksawery.

Sara po ostatniéj rozmowie ze swym małżonkiem, z najwyższą goryczą przypominała go sobie; zaczęła go uważać za najsamolubniejszego w świecie człowieka, który z systemaczną obojętnością, młodość jéj zatruwał. Dawniéj, widząc go zajętym interesami, mniemała że tylko zapomina o niéj, że jedno jéj słowo tkliwszym go uczynić zdoła. Ale po ostatniéj z nim rozmowie, w któréj jego chciwość i ambicja pokazały się jéj w całem świetle, poznała jak małe ma znaczenie w życiu męża. Zaczęła też patrzeć na niego zupełnie innemi oczyma. Porównała swoją młodość i piękność z jego niepoczesną figurką, i nazwała go niewdzięcznym. Wprawdzie idąc za niego nie kochała go bardzo, lecz w jego wielką miłość wierzyła, i piękna, kwitnąca wdziękiem swych lat dwudziestu, skłoniła się do rady ojca, aby mu rękę oddać.

— A więc dobrze! mówiła, kiedy nic dla niego nieznaczę, więc też i zważać na niego nie będę. On idzie drogą swoją, ja nawzajem swoją pójdę. Nie myślę stać się ofiarą jego samolubstwa, opuszczę samotność w któréj mnie zamyka, chcę się bawić, podczas gdy on zatapia się w swych interesach. I dotrzymała słowa. Rzuciła się w sposób życia zupełnie odmienny, nie zapytała się wcale co mąż porabia, postępowała tak, jak gdyby go w domu nie było. Przyjmowała wszystkie zaprosiny, jeździła z wizytami i na teatr. Można się domyśléć, że przybycie nowego aktora było epoką w prowincjonalnym teatrze, tém bardziéj, że Ksawery przybył poprzedzony niejaką sławą. Przy pierwszém jego wystąpieniu Sara nie omieszkała być w loży. Grano Leara Szekspira, a Ksawery występował w roli błazna i rozwinął obok ironji tyle uczucia, że ogólny wzbudził zapał.

Ach! mówiła do siebie Sara, jak dobrze umie wyrażać boleść, być może i on jest także samotny i nie poznany, A gdy zaś jeszcze raz na scenę spojrzała, spostrzegła, że Ksawery dłużéj na niéj wzrok swój zatrzymał. Wzruszona, uczuła w sobie pragnienie żeby go widzieć, po za rolą aktora, a gdy wyszedł na scenę po raz ostatni, nie czekając na koniec sztuki, opuściła

lożę. Na schodach musiała zaczekać chwilkę na towarzyszącą jéj służącę. Przy wyjściu spotkała się z młodym człowiekiem, który właśnie brał za klamkę drzwi. Spojrzała na niego— a więc życzenia jéj zostały spełnione. Te same niebieskie oczy, ta głowa strojna obfitemi blond włosami przekonały ją, że stoi przed nią Ksawery. I on zdawał się ją poznawać, otworzył drzwi z uszanowaniem i zdjąwszy kapelusz, skłonił się grzecznie, ona zaś przechodząc, udarowała go spojrzeniem, które jakby słoneczne rzucało blaski.

Oczarowany młodzieniec pozostał chwilkę, mówiąc do siebie: piękna kobieta! już ja ją w loży uważałem, radbym wiedziéć kto to jest? Ale co ja tam będę myślał o pięknycb kobietach, wyraźnie nie mam do nich szczęścia.

Sara jednak nie sądziła, aby nie warto było myśléć o przystojnym aktorze; w cichości swojego gabinetu usnuła cały romans, a gdy jéj trudno było z nim się rozstać, przyszła do przekonania, że lepiéj było w czyn go wprowadzić. Jakież miały ją krępować względy? wszak mąż nie miał dla niéj żadnych, nienawidziła go, uczuła nawet pewną radość na myśl, że mu się tak odpłaci. Następowały potém chwile zastanowienia, wahania się; dziś cofała się przed temi zamiarami, jutro gotowa była na wszystko; wśród tych niepewności nie przestawała jednak uczęszczać do teatru. Za trzecim czy czwartym razem, zrobiła stałe postanowienie, poznać bliżéj człowieka, który ją tak mocno zajmował. Niedługo nawet zastanawiała się, jakim to uczynić sposobem. Nie daleko za miastem, za Henrykowską bramą, była do najęcia rozkoszna willa, opuszczona przez właściciela. Najęła ją pod obcem nazwiskiem. Pod tém samem nazwiskiem, mieniąc się być wdową, napisała do Ksawerego żeby ją odwiedził. Przyszedł i zdziwił się tém przyjemniéj, gdy w samotnéj willi, znalazł piękną kobietę, która już dawno zwróciła jego uwagę. Tak tedy zawiązała się znajomość, którą obu stronom wcale nie było pilno zaniedbać....

Katastrofa.

Skoro tylko Sara się spostrzegła, że kocha Ksawerego, życie pod jednym dachem z mężem, wydało się jéj nieznośnem. Stał on przed nią jako nieprzeparta zapora, między nią a Ksawerym. Jéj miłość dla tego ostatniego, dziś pełna nieprawości i zdrady, byłaby po rozwodzie zupełnie usprawiedliwiona; dziś musiała się oglądać na wszystko, ze drżeniem strzedz swojéj tajemnicy, lecz zostawszy wolną, nie czułaby już tego jarzma. Ta wolność zdawała jéj się bardzo łatwą do otrzymania, czyż nie była ukochaną jedynaczką bogatego ojca? czy ten nie pomoże jéj, skoro mu powie, że jest nieszczeeśliwą i dłużéj z mężem żyć nie jest w stanie. Myśl ta oswobodzenia się z pod nieznośnego jarzma, tak się zakorzeniła w jéj umyśle, że coraz goręcéj pragnęła jak najśpieszniéj zdjąć maskę i względem męża i względem Ksawerego. Trzeba przecie aby wiedział, że ona nie jest wdową, lecz żoną drugiego; ten drugi jednak, miał wprzódy być zupełnie odsunięty, nim się ukochanemu do wszystkiego przyznać miała.

Nadszedł nareszcie dzień w którym postanowiła opuścić dom męża; nikt o tém nie wiedział, nawet ulubiona służąca Rebeka. Dopiero gdy się zbliżyła godzina w któréj miała wyjść na zawsze, zawołała jéj pytając, czy we wszystkich okolicznościach chce jéj być posłuszną, dodając zarazem, że za pierwszy warunek kładzie, aby imie Schneeball, nie było przed nią wymówione. Rebeka oświadczyła, że swojéj pani nigdy nie opuści, i dostała rozkaz, pozostania jeszcze do nazajutrz rana, potém miała się z nią połączyć w wiadoméj willi.

Była trzecia godzina po południu, gdy Sara opuściła swe pokoje, z mocnem postanowieniem, nie wrócenia więcéj. Skoro schodziła ze schodów, ujrzała wstępującego męża, który trzymał pod rękę jakiegoś znajomego. Sara spuściła oczy, i chciała ich nie znacznie ominąć, ale ukłon tych panów zmusił ją do spojrzenia i zaledwie zdołała stłumić okrzyk... towarzyszem męża był Ksawery, Ten zarówno musiał przywołać całą przytomnosć umysłu, żeby się nie zdradzić.

— Jak dobrze żem się zdecydowała, na ten krok ostateczny, nim jeszcze byłoby zapóźno, rzekła do siebie Sara, gdy pierwsze wzruszenie minęło. Ksawery zdaje się być znajomy ze Schneeballem, a ta znajomość byłaby tylko pogorszała moje położenie. Teraz wszystko minęło, i wszystko jest dobrze, Wchwili kiedy się rozłączam z człowiekiem, którego nie kocham, upada zapora, która mnie od ukochanego dzieliła. Tak rozmyślając doszła do mieszkania ojca swojego, bankiera Kajfur.

Tymczasem Schneeball mówił do Ksawerego. Widok mojéj żony, zdaje mi się, ogromne na tobie zrobił wrażenie.

To była twoja żona? rzekł Ksawery, nie mogąc przyjść do siebie.

— Podobała ci się? pytał Schneeball dobrodusznie, jest to ta sama piękna Sara Kajfur. o któréj ci mówiłem przed laty. Dziś otrzymałem to marzone niegdyś szczęście, córka bogatego bankiera jest moją żoną, a jak będziemy podpisywać układ o nowy teatr, musisz wspomniéć z niejaką wdzięcznością o moim teściu, jemu to bowiem winienem, że mogę rzucić się na przedsięwzięcia, któreby były na moją kieszeń za ciężkie.....

Ksawery milczał, tamując z trudnością wzruszenie swoje. Szedł machinalnie za idącym naprzód Schneeballem i niezmiernie się ucieszył nadzieją, że ten go opuści, gdy jeździec z cyrku, przyszedł mówiąc, że sławna ich amazonka Olympia Anzelmini umiera i życzy sobie konie-

cznie pomówić z adwokatem, oni zaś, znając biegłość Dra Schneeball, proszą go.

— Uwzięli się, żeby nam dziś nie dać porozmawiać spokojnie, odezwał się do Ksawerego Schneeball. Jeżeli nie zechcesz na mnie poczekać, musiemy rozmowę naszą odłożyć do jutra. Szkoda, że moja żona wyszła, byłaby cię przez ten czâs zabawiała rozmową.

Ksawery usiłował się uśmiechnąć i wyszedł ze Schneeballem z domu do którego miał powrócić dnia następnego. Lecz o tém powrocie nie myślał on serio, czuł bowiem, że nic mu innego nie pozostaje, jak ujść bez śladu. Kobieta z którą nie znając jéj położenia towarzyskiego, wdał się w tajemny romans, była żoną jego przyjaciela, człowieka który zawsze najserdeczniejszą okazywał mu przychylność i teraz nawet chciał podać mu rękę, ażeby mu przyszłość zapewnić. Miał-że on targnąć się na to, co ten przyjaciel miał najdroższego, miał-że by mu żonę wydrzeć? Byłaby to zaiste nikczemna niewdzięczność—wypadało mu więc się oddalić bez żadnych objaśnień, tak z adwokatem jak i z Sarą, która lepiéj nawet żeby posądziła go o zdradę, bo w takim razie prędzéj do męża się skłoni. Gdy tak rozmyślając Ksawery doszedł do swego mieszkania, już postanowienie jego było niezłomne. Napisał kilka słów do Schneeballa, ażeby mu donieść, że został korzystnie do innego miasta zaangażowany, więc wyjeżdża na prędce, potem spakował swoje rzeczy, i wieczorną pocztą opuścił Bolcen.

Tymczasem Dr. Schneeball stanął przed łóżkiem choréj Olimpji Anzelmini.

— Powiedz mi pan panie adwokacie, pytała go cichym głosem, podnosząc się z lekka, czy istnieje jeszcze w Bolcen familja Anzelmów?

— Była, lecz przed kilkoma właśnie dniami zgasła, w osobie pewnego starego celnika, odpowiedział adwokat, wpatrując się bacznie w chorę, która z głębokiem westchnieniem upadła na poduszkę. Złożyła późniéj ręce na piersiach i wyrzekła: za późno!

— Cóż panią ta rodzina zajmować może? pytał adwokat niespokojnie.

— Ja do niéj należę.

— Pani? z rodziny Anzelmów, czy to podobna, zawołał nadzwyczaj zaciekawiony.

— Dla czego pan powątpiewasz? przejrzyj te papiery, jeśli ci co na tém zależy. Jestem wnuczką owéj Tekli Anzelm, która przed kilkoma laty opuściła wasze miasto i przyjęła służbę w stolicy.

— A tak, odpowiedział adwokat, była w możnym domu, gdzie poznała bogatego polskiego pana, jakiegoś hrabiego Nikolskiego, który nie zważając na jéj pochodzenie, uczynił ją swą małżonką.

— Co do tego, to się pan mylisz. Tekla Anzelm nie poznała tam żadnego hrabiego, ale artystę, śmiałego jeźdźca z cyrku, który ją namówił, żeby do ich truppy przystała, a gdy to uczyniła, ożenił się z nią.

Tekla była młoda i piękna, została jedną z pierwszych amazonek cyrku, a dzieci ich i wnuki poszły w ślady rodziców.... Masz pan krótką historję mojéj babki i moją.

Lecz adwokat nic nie odpowiadał. Z wytrzeszczonemi oczyma, z otwartemi usty stał, zaledwie mogąc oddychać. Potem chwycił za kapelusz i wyszedł nagle. Pobiegł do hotelu *pod Siwym koniem.*

Pan Jan wygrzewał się. jak zawsze na słońcu przede drzwiami, poznał adwokata i odezwał się do niego z niejakiem szyderstwem w głosie.

— Jeżeli pan jeszcze szukasz Feuersteina, to żałuję pana, wczoraj wieczór bowiem odjechał.

— Odjechał!—krzyknął Schneeball, jakby piorunem rażony,

— Odjechał,—może się pan sam przekonać, że na tablicy przyjezdnych imie jego wykreślone zostało. Co powiedziawszy pan Jan, obrócił się tyłem.

Schneeball pobiegł do domu. Tam go czekała nowa przerażająca wiadomość; Sauerling ów założyciel banku pobrawszy od niego różne zaliczenia, zemknął także. Schneebalowi zaszumiało w głowie, pod naciskiem tłoczących się myśli. Stał się więc ofiarą najzręczniéj obmyślanego oszustwa i dostrzegł odrazu, że summy jakie stracił, były tak wielkie, że jeżeli go jaka dobroczynna ręka nie wesprze, bankructwo jego jest nieuniknionêm. Wszystkie przedsiebierstwa, w które się wdał, wołały o pieniądz, a on wszystko co miał pod rękę, oddał łotrom. Wtedy myślał o teściu, który jeden mógł go uratować. Chciał się zwierzyć żonie, żeby ojca o jego smutném położeniu zawiadomiła. I jeszcze więcéj spodziewał się od niéj pociechy, podpory któréj teraz uczuł gwałtowną potrzebę. Zaczął się pytać służących o żonę, ale nikt nie śmiał powiedzieć gdzie poszła. Przeczekał jako tako do zmroku, lecz gdy się ściemniać zaczęło, niepokój jego wzrastał i szybkim krokiem chodzić zaczął po pustych pokojach. Gdy tak długo walczył z troską, któréj sam jeszcze dobrze nie pojmował, położenie jego wydało mu się nieznośnem. Nigdy jeszcze tego nie bywało, żeby jego żona pozostawała tak długo za domem, musiało się więc stać coś nadzwyczajnego. Na to przypuszczenie krew mu w żyłach zastygła; miłość głęboka, którą miał dla żony zagłuszona dotąd przez ducha spekulacji, dobyła się teraz na jaw z całą gwałtownością, zadrżał więc, czy się żonie co nie stało. Chciał już biedz do mieszkania teścia, ale mu przyszło na myśl, że się z żoną rozminąć może. Wstrzymał się zatem i posłał służącę, dla rozpytania się. Gdy wyszła, zaczął znowu chodzić, po pokojach, a każdy szmer radością piersi jego podnosił. Więc już idzie!... zdawało mu się nawet, że słyszy jéj kroki, ale znów zalegała cisza, a on przekonywał się, że to było tylko przywidzenie.

Nareszcie drzwi się otworzyły; wróciła służąca, którą był posłał.

— I cóż? nic się o pani nie dowiedziałaś, zapytał ochrzypłym głosem, bo tysiące przypuszczeń piersi mu tłoczyło.

— Nie widziałam wcale pani, ale mi pan Kajfur dał karteczkę do pana.

— Karteczkę do mnie?

— Tak jest.

— Powiedziałażeś mu, że już godzina 10, a pani jeszcze nie ma?

— Powiedziałam, i dla tego też napisał tę karteczkę.

— Dawaj! dawaj! krzyczał Schneeball.

— Niechże świecę zapalę, bo pan nic nie zobaczy. Schneeball dopiero wtedy spostrzegł się, że noc była zupełna.

— Ach! jakże to długo robisz, wołał niecierpliwie, gdy służąca zapalała świecę. Nareszcie złamał pieczątkę, przebiegł list szybko i zawołał: Co to jest? czy mnie oczy nie mylą muszę chyba głośno przeczytać, żeby zrozumieć:

„Moja córka Sara opuściła twój dom, do którego jak powiada nigdy już nie wróci. Nie pytaj mnie o więcéj, bo sam nic nie wiem, wszystkie moje namowy rozbiły się o stałe jéj postanowienie; spodziewam się jednakże, że się wszystko z czasem na lepsze obróci" Schneeball przeczytał to z dziesięć razy; cicho, półgłosem, głośno, dotykał listu jakby ciągle jeszcze wątpił o jego prawdziwości, jakby nie było możebném to, co w sobie zawierał. Niestety! było prawdą, że Sary nie było, a jedyny jego świadek, zegar, idący naprzód niezmordowanie, już jedenastą wskazywał.

Ale to może tylko żart, może figiel który mu żona z ojcem chciała wypłatać, dla przekonania się, jak on go przyjmie? Jakże złą porę na to wybrali.... a gdyby to była prawda!. Pojęcia jego mieszały się wyraźnie, drżał z tęsknoty. Poszła przecież bez przyczyny, musi zatem wrócić. Całą noc oczów zamknąć nie mógł. Nazajutrz jednak wstał z postanowieniem nie zrobienia żadnego kroku, który według jego mniemania, byłby poniżający. Nie dowiadywał się więcéj o żonę, nie poszedł do teścia, jakkolwiek kochał pierwszą, a potrzebował drugiego. Przeszło południe, lecz Sary jeszcze nie było, nad wieczorem posłał do teścia karteczkę następującéj treści: „Proszę mi donieść, jak mam zrozumieć list który wczoraj odebrałem". Potem wziął się do pracy, ale mu nie szła. Nie rozumiał tego co czytał, mięszało mu się w głowie. Po śmiertelnie długiéj godzinie, ujrzał wchodzącego do siebie Kajfura, był blady i pomięszany. Podał zięciowi rękę i rzekł niepewnym głosem. „Cóżeś ty zrobił mojéj córce, że tak jest zawzięta na ciebie? nie pojmuję jéj. Wczoraj po południu przyszła cała wzburzona, mówiąc mi, że opuściła twój dom na zawsze, i że żadna potęga na świecie nie zmusi ją do powrotu.

Schneeball schwycił się za stołek, bo nogi pod nim chwiać się zaczęły. Zbladł jak trup i ledwo po chwili mógł przemówić, wpatrując się bystro w teścia.

— Więc to wszystko jest na serjo, co ze mną robić chcecie?

Kajfur wytrzymał spojrzenie i odrzekł: Powiadam ci, że nie pojmuję Sary. Dziś i wczoraj robiłem jéj różne przedstawienia, ale napróżno! Odpowiada mi z chłodną stałością, że byłoby to dla niéj największém nieszczęściem, gdyby wrócić miała. Nie mogę jéj zmuszać, gdyż to by się nawet na nic nie przydało, gotowa by była do innych uciec się środków, aby zerwać taka nie miły sobie związek.

Schneeball potrzebował jakiegoś czasu, nim nareszcie w prawdę tego co słyszał uwierzył. Więc Sara która tak kochał, którą jedynie trochę z zaniedbania obraził, opuściła go?... Chwilkę pragnął aby pobiedz do niéj, ażeby ją słowami miłości przebłagać, lecz odepchnął tę pokusę precz od siebie; miałże żebrać o to, co mu się z prawa należało? Nie! — Sara musi pokornie wrócić do jego domu, chociażby mu dla otrzymania tego świat cały poruszyć przyszło. Z mocném postanowieniem odezwał się do teścia.

— Powiedz twojéj córce Kajfurze, że jéj daję dwadzieścia cztery godzin do namysłu; jeżeli do jutra po południu nie wróci, to ją przymuszę.

— Co chcesz uczynić? zawołał Kajfur.

— Udać się do sądu.

— Chcesz nas zaskarżyć?

— Twoję córkę, jeżeli będzie trwać w zapomnieniu obowizków i ciebie jeżeli ją podtrzymujesz.

— Lecz gdy ona ma do ciebie wstręt nieprzezwyciężony?

Schneeball zbladł i usiłując nadać swojemu głosowi pewność, któréj wewnętrzne wzruszenie stawało na przeszkodzie, odrzekł:

— Pozostałem ten sam jaki byłem, gdym się z nią żenił; wtedy nie miała do mnie wstrętu, jeżeli teraz go czuje, niech się przezwycięży, będziemy mieli teraz oboje coś zapomnieć. Ona o swoim wstręcie, a ja o swoim zawodzie. Będziemy tedy żyć daléj obok siebie już bez miłości.

Że twoja córka do mnie musi wrócić, to taka prawda jak to, że ona jest moją żoną. I zaiskrzyły mu się oczy, a na jego twarzy rozlał się wyraz niezłomnego postanowienia.

— Jakież to jednak będzie wasze pożycie, skoro ją w brew jéj woli zmusisz do powrotu....

— To już nasza rzecz, odparł Schneeball krótko. Słyszałeś com ci powiedział? powtórz to twojéj córce. A choćby mnie proces miał doprowadzić do torby żebraczéj, choćby pół wieku upłynęło od dnia w którym wyszła, mówię ci powróci!......

Oba krewni pożegnali się zimnym ukłonem. Upłynął czas naznaczony do powrotu przez męża Sarze, która naturalnie, żadnego kroku do zgody zrobić nie myślała. Dokazała tylko tyle, że ojciec stanął po jéj stronie. (*D. c. n.*).

Dodatek do Zeszytu III, Kółka Domowego. 1867.



Czepeczek.

Dla zrobienia czepeczka tu umieszczonego, składa się ukośno kawałek bengalu, i wykrawa z niego krzyż odpowiedniéj do głowy wielkości, podług wzoru umieszczonego na tablicy rysunków pod N. 7. Ten krzyż obrąbia się, obszywa wszywką cluny, któréj obadwa brzegi garnirują się płasko podobnymże brzeżkiem. Do środka tak przyrządzonego krzyża przyszywa się po lewéj stronie potrójnie wzięty czworokąt, z tiulu sztywnego, czarnego, któren służy za podstawę rozetce, z aksamitki fijołkowéj ułożonéj, mającéj średnicy 6 centym: Czworokąt ten powinien być przyczepiony tylko w punkcie środkowym, puszczając resztę luźno, i w kierunku prostym do ramion krzyża. Do rogów przednich tego czworokąta, przyszywa się paski z tegoż tiulu, długości 9ciu centym: w kierunku do kątów krzyża a na ich końcach osadza się rozetki większe z aksamitki, mające średnicę 8mio cent: Drugie dwa paski tiulowe trzymające 12 cent: długości, przyszywa się do tylnych rogów czworokąta w odwrotnym kierunku do poprzednich, i na końcach tych pasów przytwierdza się kokardy z aksamitki w kształcie pióra ułożone. Dodać do tego skarfy bengalowe mające 15 cent: szerokości, a 66 długości, obszyte do koła koronką, cluny; końce te założyć pod kokiem i przycisnąć tasiemeczką gumową, a otrzyma się piękny i oryginalny czepeczek.

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1. (Ubranie na zimową przechadzkę). Krótka spódnica z ciemnego aksamitu, z długim, do stanu przylegającym paletotem, zrobionym z ciężkiéj materji jedwabnéj, albo z lekkiego sukna, podwatowanym, z jedwabną podszewką. Paletot ten w około,

u szyi, i na szwach rękawów, ma wąskie obszycie z astrachanu (baranka) z przodu zapięty jest na haftki. Wyszycia z podobnego jak na spódnicy aksamitu, znajdują się, w około, na rękawach i na kieszeniach. Czapeczka także aksamitna, z długiemi wiszącemi z tyłu wstęgami, i z piórem na przodzie. Rękawiczki żółte, buciki zaś obłożone futrem.

Fig. 2. (Ubranie na obiad lub wieczór proszony). Spodnia suknia powłóczysta z białego atłasu, ozdobiona u dołu i na szwach liściami wycinanemi z żołtéj materji. Z takiéj saméj materji zrobiona spódnica zwierzchnia, dłuższa także z tyłu, a u góry zupełnie bez fałdów. Na szwach, tegoż koloru grube sznury znaczące dwie linje zębów zakończone kwastami. Stanik gładki, żółty, roztwarty, z białem wyłożeniem, ogarnirowany żółtemi liśćmi. Spodnie rękawy białe i obcisłe, zwierzchnie zaś w rodzaju średniowiecznym otwarte, podszyte biało, zakończone spiczasto kwastem. Pasek z takąż żółtą rozetką. Szmizetka z fałdowanego tiulu. Na szyi czarna aksamitka ze złotym medaljonem. Na głowie ubranie z koronki, rękawiczki jasne.

Fig. 3. (Kostium wieśniaczki włoskiéj). Krótka suknia z czerwonego kaszmiru obszyta u samego dołu szeroką, czarną aksamitką, fartuszek żaknotowy biały, z licznemi pliskami na około. Zwierzchnia suknia jasna jedwabna, wyszywana czarną aksamitką. Bluzka żaknotowa lub batystowa z długiemi rękawami, mająca u szyi czarną aksamitkę; z takiegoż koloru aksamitu gorsecik obszyty u góry złotym sznurem. Na piersiach łańcuch złoty okręcony kilka razy. Na głowie chusteczka biała ze złotem, białe pończochy a trzewiki czarne.

Fig. 4. (Suknia do większego ubrania). Z ciężkiéj jedwabnéj materji jasnego koloru, obcisła u góry, szeroka i powłóczysta u dołu, zeszyta od pasa aż poniżéj kolan, następnie wycięta w wielkie zęby, otwierająca się na bogato haftowaną spódnicę z żaknotu lub batystu. Na szwach widzimy galony tegoż koloru pomieszane ze srebrem, kończące się u dołu takąż srebrną spinką. Stanik gładki, wycięty kanciasto, spina się z przodu na srebrne guziki; takież same guziki biegną wzdłuż całego szwu rękawów i przedniego bryta sukni. Pasek ma także srebrną klamerkę; Szmizetka i mankiety z koronki; grzebień i kolczyki srebrne, rękawiczki jasne.

Fig. 5. (Kostium pasterki z czasów Ludwika XV). Krótka suknia z białéj materji jedwabnéj, obszyta dokoła wieńcem róż. Z wierzchu krótsza suknia z różowego atłasu, także różą podpięta. Gładki, mocno wycięty stanik z draperją z białego tiulu, podpiętą z przodu i na ramionach różami. Króciutkie rękawki okryte białą koronką. W pasie koronkowa biała szarfa z długiemi końcami, włosy zaś upudrowane i ozdobione jedną różą. Białe rękawiczki, białe jedwabne pończochy, a różowe atłasowe buciki.

O UBIORACH.

Kapelusiki noszą ciągle, jak u nas, tak w Paryżu w rozmaitych kształtach; płaskie, wypukłe, kanciaste, okrągłe, z główkami i bez główek, miara tylko zawsze bardzo mała stanowi pomiędzy niemi zbliżającą cechę. Z pomiędzy wszystkich, za najulubieńsze w Paryżu uważane są kapelusiki *Sévigné* zwane; mają one kształt chusteczki trzyrożnéj, zakończonéj z tyłu małym karczkiem spadającym na kok. Kapelusik tego kształtu, z aksamitu fijałkowego, ubrany po brzegach dżetowem naszyciem, którego frendzla spada na podpięcie, z końcami aksamitnemi pod brodą, z różą *thea* zwaną, przypiętą na boku, jest nadzwyczaj piękny.

Kapelusik *Fanchon empire*, zrobiony jest zwykle z jednéj sztuki aksamitu, w kształcie chusteczki, z tyłu zaokrąglonéj, lub w zęby wyciętéj. Zęby te przyozdabiają się na końcach i w kątach bąbelkami dżetowemi. Brzegi obszywają się rulonikami pojedynczemi, lub podwójnemi, dwa lub trzy razy do koła. Ponieważ moda teraźniejsza miesza kolory (szczęściem że dość łagodnie) można przeto dać kapelusz z aksamitu niestrzyżonego, koloru popielatego z rulonikami różowemi, czarny z niebieskiemi lub także różowemi, stosując zawsze podgarnirowanie, kwiaty i wstążki pod brodą, do przybrania zewnętrznego kapelusza.

Kapelusiki czworokanciate, katalankami zwane, wspomnione już przez nas poprzednio, z bukiecikiem lub kwiatkiem na rogu od przodu przypiętym, bardzo korzystnie ubierają młode panienki.

Jeszcze u nas nie minęła moda końców aksamitnych do kapelusza, a już się dowiadujemy, że ku wiośnie zastąpią je bardzo pięknie i kunsztownie wyrabiane wstążki zwane *brochés*. Jest to rodzaj noszony przed kilkunastu laty. Bo też modę bardzo niesłusznie niestałą zowią, ma ona swój rodzaj stałości, stałość ta polega na tém ciągłem wirowaniu w jednem, jakby zaklętem kółku z którego zakresem bardzo mało i rzadko się zmija. Wstążki broszowane są najczęściéj wyrabiane na tle białém, w bukiety lub gierlandy kwiatowe. Obiecują nam je w najlepszym smaku.

Podajemy tu naszem czytelniczkom, kilka pomysłów do ubrań wieczorowych, na bieżący karnawał; oto parę nader ozdobnych. Suknia tarlatanowa biała, z podwójną spódniczką. Spódnica ubierana jest potrójnemi wodami, położonemi jedna przy drugiéj, każda szerokości ćwierci łokcia, Nad temi wodami układa się rusza z wycinanego w ząbki tarlatanu, kokardki ze wstążeczki atłasowéj, zielonéj na dwa palce szerokiéj, przypinają się nie regularnie na wodach. Zwierzchnia spódniczka jest w zęby. Od paska do dołu téj spódniczki spadają długie, delikatne gałęzie zielone, umieszczone w pewnych oddaleniach. Stanik krótki jak się to widzi na wszystkich żurnalach, nadstawiony wodami z brukselskiego tiulu i ubrany gałązkami zielonemi, wraz z rękawkami, które się także, z bufek podwójnych składają. Bufki te mogą być z illuzji. Broszę zastępuje róża rozwinięta. Pas z szerokiéj, długiéj wstążki koloru zielonego, którą otoczywszy figurę trzeba spuścić do połowy spódniczki téj, która przybrana jak stanik. Na głowę róża, z zielonemi długiemi gałązkami.

Oto toaleta dla młodziuchnéj panienki:
Spódniczka z materji blado różowéj, zawsze z trenem lecz nie zbyt długim. Spódniczka ta ugarnirowana dwa razy, grubą ruszą z krepy wycinanéj tegoż koloru, Spódniczka na wierzch z krepy białéj, ma być téj saméj długości co spódnica. Ubiera się ją pięcioma rulonami materji różowéj, Bryty tylne które są, jak u wszystkich teraz, skośno ścięte, mają być zszyte od góry tylko; od trzeciéj części długości spódnicy reszta, związuje się niedbale, tak, żeby cała zwierzchnia suknia uniosłszy się, zostawiła widoczném ubranie spódniczki różowéj. Stanik z materji różowéj z małemi klapkami z tylu, ubranemi gęstą ruszą z krepy białéj, na głowie kwiat azalei różowéj.

Przejdźmy teraz do innych szczegółów ubrania, których wyrobem i rozprzedażą kilka magazynów w Warszawie wyłącznie się trudni. Między innemi dwaj panowie Reichel, usiłują otrzymać pierwszeństwo w elegancji, a nowo założony jednego z nich magazyn w teatralnym gmachu, wprost ulicy Niecałéj, niczem nie ustępuje dawniejszemu. Widzieliśmy tam bluzki muślinowe, strojne wszywkami haftowanemi, zakładkami, lub całe z koronek *Cluny*, zdobne materją lub aksamitką, bluzki te są kroju najrozmaitszego: wycinane, otwierane, kwadratowe, od najstrojniejszych do zupełnie skromnych.

Czepeczki (pamelki) strojne wstążkami lub łańcuchami *Benoiton* a wreszcie czepeczki zastosowane do rozmaitego gustu i wieku.

Kołnierzyki od prostych płóciennych do strojnych z *Cluny* prawdziwéj lub naśladowania tak doskonałego, że trudno od prawdziwéj odróżnić chyba tylko ceną, która jest daleko przystępniejszą od poprzednich, a wszystkie przystrajane aksamitkami lub wstążkami różnokolorowemi. Najnowszy fason kołnierzyka jest w trzy zęby, to jest dwa z przodu a jeden w tyle kołnierzyka.

Peignoiry fasonów rozmaitych: strojniejsze, więcéj wypracowane lub przeciwnie, Gabrjelle batystowe i inne.

Spódniczki haftowane, biało lub kolorowo, albo w falbanki rurkowane; chustki batystowe i półbatystowe haftowane nader efektownie, a nie drogie. Są tam także sprowadzane zagraniczne sznurówki (gorsety) droższe lub tańsze, krynoliny do teraźniejszego wymagania mody i wszystkie inne artykuły bielizny zastosowane do potrzeby kupującego. Wełniane przedmioty a mianowicie: pelerynki wieczorowe dla młodych panienek, białe lub kolorowo okładane, kapturki kaszmirowe lub włóczkowe w wielkim doborze, nakoniec wszelkie kaftaniczki paltociki, sukieneczki dziecinne i wszystkie tak zwane artykuły zdrowia na piersi, pasy, kaftany i inne.

Biżuterje, klamry, rozety, paski, grzebienie nowego rodzaju stanowiące już cały przystrój głowy dla młodéj panienki, wachlarze, kolczyki, broszki, są tam także w znacznéj ilości.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Pirożki ze słodkiéj kapusty.

Bierze się pół kwarty śmietany, całe dwa jaja, łyżkę masła nietopionego, wszystko to się ugniata z mąką dobrze, ażeby ciasto dało się wałkować, wymiesiwszy należycie, rozwałkowywa się do grubości rubla, wyrzynają się kawałki dosyć spore ciasta, i nakładają się kapustą tak urządzoną; Kilka główek kapusty słodkiéj usiekać drobno, posypać trochę solą, i łyżką mieszać póty, póki rosół z niéj nie wystąpi, zlać precz ten sos, a kapustę wyłożoną na przetak raz sparzyć, i przelać zimną wodą, włożyć do niéj kilka łyżek śmietany kwaśnéj. kilka jaj na twardo ugotowanych i drobno usiekanych, wszystko razem wymieszać i do ciasta zawijać, ułożyć na blachę masłem wysmarowaną, mąką posypaną i z wierzchu jajem posmarować i upiec. Są wyborne ciepłe i zimne; do tak urządzonego ciasta, można rozmaity farsz dawać: z mięsa pieczonego lub gotowanego, do którego dodaje się trzecia część łoju i kilka łyżek bulionu lub wody, z jabłek świeżych, jagód suszonych, które się pierwej nalewają gorącą wodą, a jak rozpęcznieją, woda się zlewa, dodaje się do nich cukru lub miodu.

Ser z jarząbków.

Bierze się po równéj części pieczonych jarząbków, sera zielonego, masła świeżego niesłonego; mięso utarte na tarce, również jak i ser zielony, miesza się dobrze z masłem i przefasowywa się przez rzadkie sito. Złożyć do serwety w wodzie namoczonéj i wycisniętéj, związać mocno i na godzinę pod kamień położyć dla nadania formy. Można zamiast jarząbków użyć pieczonéj cielęciny lub zająca, niektórzy urządzają z serem szwajcarskim ale z zielonym lepszy.

Dodadatek do Zeszytu III Kółka Domowego.



Poduszka do szpilek.

Wyciąć dwa okrągłe kawałki czerwonego sukna, na wierzch i spód okrągłéj, białéj, perkalowéj poduszki otrębami wypchanéj. Kawałek wierzchni naszyć jak wskazuje deseń, pąsową jedwabną i cieniuchną złotą tasiemeczką. Deseń rysuje się na bibułce, na któréj wyszywa się przyłożywszy do sukna, poczem bibułka się wydziera. W podobnyż sposób haftuje się otoczenie, czyli skośno krajana, gładka, sukienna czarna falbana, wycinana u brzegu w drobne ząbki.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1 Plecy, Nr. 2 Przód, Nr. 3 Boczek, Nr. 4. Rękaw. Wszystko to części stanika pod szyję z baskinami z boków, używanego bardzo obecnie. Baskiny czworograniaste otaczają się drobnemi kutasikami. Deseń naszywa się pasmanterją.

Nr. 5 i 6 Kołnierzyk i mankiet płócienny, zdobny płaskim haftem na kształt tasiemeczki.

Nr. 7 i 8 Figura tegoż kołnierzyka i mankieta, reszta téj strony tablicy alfabet.

Nr. 9 Denko do czapeczki szwajcarskiéj z aksamitu lub kaszmiru (dla małego chłopczyka), podszytéj fularem, Nr. 10 otoczenie do téjże czapeczki.

Nr. 11 Połowa nocnego czepka.

Nr. 12 Czwarta część czepeczka negliżyka z muślinu, haft ściegiem łańcuszkowym. Prążki pomiędzy haftem oznaczone, przymarszczają się wzdłuż z przodu, również jak cały czepek, do koła obszyty jak chłopka neżykiem w szczoteczkę.

Nr. 13 Haft na szlak halki. Wyszycie na pice białéj lub ponsowym tybecie tasiemeczką białą z czarnym, medaljony zaś czarnym jedwabiem.

Nr. 14 i 15 Poduszeczki do szpilek, haft na białym muślinie.

Nr. 16 i 17 Kołnierzyk i mankiet.

Nr. 18 Tarcza do cyfr na poszewkę.

Nr. 19 Szlak do wyszycia tasiemeczką.

Nr. 20 Szlaki; reszta tablicy tarcze do chustęk do nosa i szlaki.

O UBIORACH.

Oglądałyśmy u Pani Adeli Hoffmanowéj kilka pięknych sukien, które opiszemy czytelniczkom naszym, aby z nich wzór brać mogły w przyozdobieniu i kroju. Najpierw musimy powiedzieć, że suknie mają teraz staniki zupełnie gładkie i cały ich wystrój mieści się na rękawach u dołu i u gury, oraz stanowi go także gruby niezmiernie sznur jedwabny u dołu powłóczystéj sukni. Sznury takie bywają przetykane kryształowemi dużemi perłami stosownemi do tych, które się mieszczą przy pasmanterji na rękawach, czynią zaś, że spódnica u dołu odstaje i nie plącze się przy zbytecznéj długości. Staniki u szyi czy to wycięte czy pod szyję, garnirują się koronką Cluny. U sukien mocno wyciętych, Pani Adela tworzy z téj koronki rodzaj szmizetki co i ładnie i przyzwoicie wygląda. Koronka takiéj szmizetki podszyta bywa jeszcze tarlatanem, aby niebyła zbyt przezroczystą. Widziałyśmy tedy najpierw suknię *bleu mexique* zmaterji zwanéj *gros grains* z guzikami, wystrojem rękawów i sznurem u dołu czarnym Suknie popelinowa, niebieska miała ozdoby z gipiury Cluny i takąż gipiurą na ćwierć łokcia szeroką oszytą spodnicę na trzy palce najwyżéj nad obrębkiem u dołu. Gipiura ta zwała się *z medalionami*, albowiem miała w pośrodku wprawione medaljony z innego rodzaju koronki. Suknia czarna aksamitna z długim, jak u wszystkich poprzednich, na pół łokcia ogonem, mocno ścięta w kliny, miała u góry spódnicy tylko cztery łokcie obwodu, rękawy zaś i pasek przybrany gipiurą Cluny (nadmienić tu musimy że pani Adela wszystkie suknie nawet balowe robi do pasków, prawda że umie też paski te urządzać w sposób jedynie sobie właściwy. Drugi stanik do sukni aksamitnéj był wycięty *à la bébé*, to jest czworograniasty lecz nieco zaokrąglony, i miał szmizetkę z koronki Cluny. Suknia *z gros grins* lapis, z wystrojem z kryształowych dużych pereł kanciastych, miała sznur u dołu przetykany takiemiż perłami. Perły te błyszczały także wśród garnirowania z tejże materji u stanika wyciętego również *à là bébé.* Suknia z materji stalowego koloru, bardzo pięknie wyglądała z przyborami ze stali. Każda z wyżéj opisanych sukien miała po dwa staniki, jeden wycięty a drugi otwarty. Do magazynu pani Cronier przy ulicy Śto. Krzyskiéj nadeszły teraz modeliki ubiorów paryzkich na głowę, oraz znaczny zapas prawdziwie pięknych kwiatów paryzkich.

O INSPEKTACH.

(*Dokończenie*).

We cztery dni lub późniéj, nasypać ziemi przesianéj, grubo na cali 10 od ziemi, zaś do szkła ma być miejsca wolnego także na cali 10. Ziemia do inspektów powinna być tłusta, ani ciężka ani lekka, z gnojem końskim albo bydlęcym dobrze przegniłym, przez rok w kupie leżąca, i kilka razy przemieszana; taką ziemię w jesieni przesiawszy, umieścić od południa i nakryć grubo matami lub gnojem, aby niemarzła. Po nasypaniu inspektu ziemią, we dwa lub trzy dni, gdy już gorącość i para z inspektu wyszły, (co łatwo poznać można, włożywszy do ziemi rękę), jeżeli ciepło umiarkowane, siać lub zasadzać można. W dniach suchych inspekta palą się powolniéj, a jeżeli przechodzą deszcze i śniegi, palą się prędzéj i mocniéj. Ile razy pogoda i słońce świeci, nietylko maty zdejmują się, ale należy dawać luft mały, a zakrywać matami na mróz, złe powietrze

i na noc. W początkach kiedy jeszcze zbyt gorący inspekt, chociażby okna były nakryte matami, jednak dają się lufty, dla wyciągnienia pary z gorąca pochodzącéj.

Gdy po pogodzie deszcz spadnie, inspekta zwykły zapalać się na nowo, wówczas zrobiwszy w ziemi dziury kołkiem aż do gnoju, nalać w nie zimnéj wody, i okna podnieść ażeby wilgoć i para wyszła; w 24 godzin gdy gorącość ustanie, dziury pozaciskać. Wnętrzne brzegi ziemi, około desek skrzyni, także pouciskać, ażeby przez otwory para gorąca nie wkradła się do inspektu i nie powarzyła roślin.

W dni kilkanaście po założeniu, gdy inspekt ciepło utraci, obłożyć obszlegami ze świeżego gnoju, na cali 20 szeroko, i wyżéj nieco nad sam inspekt, a w porze zimowéj, zawsze między 10 i 15 dniami okładanie odnawiać świeżym gnojem. Po dwóch miesiącach od założenia, gnój ostyga; wtenczas nietylko pomnażać ciepło nowemi obszlegami, ale już mniejsze dawać lufty; podnosić okna wtedy tylko, gdy powietrze ciepłe i słońce południowe świeci. Śnieg z okien zmiatać, z wilgoci ocierać, okna wymywać i czysto utrzymywać; niedopuszczać, aby jakakolwiek trawa albo grzyby rosły około inspektów. Cała umiejętność utrzymania dobrze inspektów jest, pilność w każdym momencie, ażeby ani nadto wypędzić rośliny ciepłem, ani ostudzić. Pomyślność zatem inspektów, zależy od chęci doglądającego i starań nieustannych, nawet wieczór idąc spać i rano wstawszy, powinien oglądać inspekta i uważać czy nie potrzeba gdzie zakryć lub odkryć, aby zawsze umiarkowane i jednostajne było ciepło.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Rolada wieprzowa.

Z niezbyt tłustego wieprza, gorące jeszcze schaby urządzić następującym sposobem: Rozciąć ostrym nożem błonę przyrosłą do każdéj kości żebrowéj, następnie (postępując ostrożnie żeby schabu nie przedziurawić), wyrzynać każdą kosteczkę.

Na 20 funtów tym sposobem urządzonych schabów, bierze się soli prażonéj i przez sito przesianéj funt 1, saletry łu. 1½, bobków, goździków, pieprzu prostego po 1 łucie, pieprzu tureckiego ½ łu., angielskich i bobkowych liści po 2 łuty, kolędru 4 łuty, jałowcu na pół utłuczonego 1½ kwaterki. Kto znosi czosnek i majeran, może dodać 2 główki czosnku i ¼ kwarty majeranu. Mięso układa się ciasno, trzeba je dobrze natrzeć solą i korzeniami i zupełnie w nich utarzać. Potrzymać w ciepłèm miejscu god. 48, potém wynieść na zimno. Po upływie dni 13 (w ciągu których 3 razy mięso przełożyć potrzeba tak, aby sztuki na dnie leżące znalazły się na wierzchu), wyciera się mięso suchém płótnem (wymywszy je pierwéj w wodzie ze wszystkich korzeni, które do niego przylgnęły), następnie szczotką maczaną w spirytusie, i zwija się ciasno każden schab z osobna, uważając naturalnie aby skóra została na wierzchu. Tak zwinięty wałek, bardzo ciasno obwija się sznurkiem i wywiesza przez tydzień na wietrze. Po upływie tygodnia okręcić potrzeba wałek papierem i powiesić w gorącym dymie na 3 dni, aby się razem mięso piekło i wędziło.

Kto do trzasek tlących się pod wędliną dosypie dziennie, (sypiąc potrochu) pół garca jałowcowych jagód, będzie miał daleko smaczniejszą wędlinę. Jeżeli wieprz jest karmiony na słoninę, trzeba słoninę odjąć od schabów, bo zbyt tłusta wędlina niesmaczna.

Sposób robienia kawioru.

Pierwszy warunek ażeby był dosyć silny mróz; z całéj ryby należy ostrożnie wyjąć ikrę, żeby nieuszkodzić żółci, potém od ikry oddzielić klej, tłustość i plewy, pokruszyć ikrę w kawałki i położyć na śniegu chociażby na jednę noc, żeby dobrze zastygła; potém trzeba mieć dwa rzeszota, jedno rzadkie drugie gęste, wziąść śniegu i przesiać go przez rzadkie rzeszoto, następnie wziąć czysty płócienny worek, wsypać do niego przesiany śnieg i włożyć jeden kawałek ikry, uważając aby śniegu było cztery razy więcéj niżeli ikry; zawiązać worek tęgo i bić wałkiem jak można najdłużéj i mocniéj, bo na dobrem wybiciu zależy dobroć kawioru. Po wybiciu wyłożyć ikrę do jakiego naczynia, a wziąć drugi kawałek, ikry włożyć do tegoż worka i ze śniegiem tak samo dobrze wybijać; toż samo powtarza się z każdym kawałkiem ikry z osobna. Po ubiciu takim sposobem wszystkiéj ikry, kładzie się ją na rzadkie rzeszoto i przesiewa dobrze żeby nic nie zostawało śniegu, jeżeli przez rzadkie rzeszoto przejdą cząstki ikry ze śniegiem, to te znowu przesiewać przez gęste rzeszoto, przy wysiewaniu znajdą się żyłki lub plewki, te trzeba starannie wybierać; tak oczyszczoną ikrę składać do naczynia i solić, soląc niemieszać ją łyżką, ale potrząsając naczynie w którém złożona. Jak się usoli, po dwóch dobach złożyć do szklannego słoja, obwiązać pęcherzem i postawić na chłodzie, a po dwóch tygodniach można brać do użycia; przy wybijaniu ikry należy uważać żeby była całą t. j. ziarnka żeby się nierozbijały, i dla tego to cała ta operacja powinna się odbywać podczas mrozu w chłodném zabudowaniu.

Marynowane jarząbki do zakąsek.

Oskubane i oczyszczone jarząbki, a wymoczone przez dni parę w wodzie, ugotować z rozmaitemi korzeniami, ostudzone złożyć do szklannego słoja, zalać octem przegotowanym z korzeniami i ostudzonym; są wyborne do zakąski.

Obwarzanki angielskie.

Kwarta mąki, 4 jaj, szklanka gorącego mleka. Mąkę zaparzyć, wymieszać, wbić w to jaja, dołożyć łyżkę masła i zrobiony obwarzanek puszczać na wrzącą wodę. Jak spłyną, wyjmować i w piec sadzać. Takie obwarzanki są smaczne, ale prędko czerstwieją.

Obwarzanki do herbaty.

Dwa funty mąki, pół funta masła, ośm żółtek, ćwierć funta cukru. Masło sklarować i gorące wlać do mąki, zaparzonéj poprzednio pół kwartą wrzącego mleka. Mocno wymieszać, jak ostygnie wlać ubitych żółtek i wysypać cukier (również dobre są bez cukru). Pomieszawszy jeszcze trochę, wyrabiać obwarzanki i po chlebie pytlowym w piec wsadzić na kwandrans.

Pierogi z kapustą.

Pół kwarty mąki, kwaterką ciepłego mleka, i dwoma łutami drożdży rozczynić; jak się ruszy, wlać 6 żółtek rozbitych, masła przetopionego pół filiżanki, trochę cukru, dwie łyżki gęstéj, młodéj śmietany i pół kwarty mąki. Wszystko to razem dobrze wyrobić i postawić w ciepłém miejscu. Jak dobrze podrośnie przedzielić na dwie części, rozciągnąć trochę wałkiem, resztę rękami (które trzeba posmarować masłem) położyć na blasze na papierze wysmarowanym masłem. Następnie nałożyć kapustą słodką, poprzednio kilka razy sparzoną, usiekaną i usmażoną w maśle z cebulą, posypaną solą i pieprzem; nakryć pozostałém ciastem, a gdy trochę wyrośnie, posmarować jajkiem i upiec. Potem dopiero krajać na pierogi.

KÓŁKO DOMOWE
Mo Luty 1867.



